

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 24 sierpnia 1907. Nr. 34.

Śmierć w Tatrach.

(Treść na stronie 2)

Śmierć w Tatrach.

(Do illustracyi tytułowej).

Tragiczną śmierć znalazł przed kilkunastu dniami młody, zapalony taternik węgierski, 21 letni słuchacz filozofii Jenoe Wachter. Oto w czasie wycieczki w okolicy Morskiego Oka spadł w przepaść i roztrzaskał sobie głowę.



Skon młodego uczonego: Ś. p. profesor Karol Potkański.

Szczegóły tragicznego tego wypadku były następujące. We czwartek 8 bm. wybrały się dwie partye turystów na Żabiego Konia, na jedną z najtrudniejszych do wejścia turni, położoną w grani między Mięguszowieckim a Rysami nad Morskiem Okiem. Pierwsza partya, polska, złożona z trzech osób, wyszła pod przewodnictwem prof. K. około 6-ej rano, druga zaś, węgierska, złożona również z trzech osób, pod wodzą J. Wachtera, w godzinę później. Posuwając się jednak szybciej od pierwszej, stanęła prawie równocześnie z nią na szczycie. Tam obie partye zapoznały się ze sobą i wspólnie postanowiły powrót inną drogą, a mianowicie granią zachodnią ku przełęczy Żabiej. Aby się dostać na tę przełęcz, trzeba się spuścić na linie z niewielkiej odległości pod szczytem na małą przełęczkę, a z niej dopiero przejść granią na wspomnianą przełęcz, już bez wielkich trudności. Zejście na przełęczkę umożliwia doskonały wyrostek skalny, znajdujący się kilka metrów poniżej szczytu; na tym to wyrostku wisiała pętla do uczepienia linki, pozostawiona przez innych trzech polskich turystów, doświadczonych taterników, którzy tą granią przeszli 5 sierpnia bez przewodnika, trawersując ją od przełęczy Żabiej wschodniej.

Profesorowi K., który wiódł polską partyę i jednemu z jego towarzyszów była już część grani od przełęczki ku zachodowi znaną, gdyż jeszcze w lipcu wydostali się na nią, skąd jednak na szczyt „nie puściło“ ze względu na dwunasto-metrową pionową, a miejscami nawet przewieszoną ścianę. Poszli więc pierwsi. Pętla mimo jej zewnętrznego niezłego wyglądu i podwójnego założenia takiego, że jedno jej koło nie mogło przerwać się z osobna, nie wzbudzała w nich jednak zupełnego zaufania, prof. K. zastosował przeto wszelkie środki ostrożności i spuścił swoich towarzyszów na potrójnej linie. Po nich zeszli dwaj towarzysze p. Wachtera, zabezpieczeni w ten sam sposób przez prof. K. ich własną liną. Piąty schodził p. Wachter. Ten nie dał się zabezpieczyć, mimo że miał na sobie zwiniętą linę, lecz poszedł nie uwiązany, wolno, trzymając się tylko podwójnej liny, przewieszonej na pętli. — Wkrótce znikł za przewieszką i był zwieszony może nie więcej, niż cztery metry powyżej stojących na przełęczce, ale zanadto na prawo, gdy nagle pękł pierścień w miejscu, gdzie była lina przewleczoną. Koniec pierścienia leżał już na pochylonej płycie, więc w mgnieniu oka ześliznęła się lina i nieszczęśliwy Wachter spadł w przepaść na 250 m. głęboką.

Na straszną śmierć młodego taternika, na lecące w bezdenną przepaść ciało jego, patrzał bezsilnie prof. K. Widział, jak straciwszy oparcie pochylił się w dół, jak następnie trzykrotnie odbił się o skałę a wreszcie legł na białym śniegu.

Czemprędzej wraz z towarzyszami zbiegł prof. K. na miejsce, gdzie leżało ciało Wachtera. Zastali już stygnące jego zwłoki. Głowa strzaskana, poszarpane członki wskazywały, że straszną była jego śmierć.

Następnego dnia zwłoki nieszczęśliwej ofiary taternictwa przeniesiono nad jezioro szczyrbskie.

Skon młodego uczonego.

I znowu nielitościwa śmierć na żyznem polu nauki polskiej ścięła bujny, piękny, kłos. Z pośród grona historyków polskich ubył jeden z najwybitniejszych pisarzy dziejów ojczystych, na wieki zamknął swe oczy ś. p. Karol Potkański, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Praca, którą tak bardzo ukochał, dla której jedynie żył, wywdzięczając mu się uznaniem, jakie ze wszystkich stron spływało na niego, nie oszczędzała jednak sił nieboszczyka, których ciągle mu ubywało. Już od lat kilku śp. Potkański zapadał na zdrowiu, coraz bardziej słabnął, nie zaprzestając jednak swej owocnej pracy. W roku ubiegłym zdawało się, iż pozbył się już trawiącej choroby i znowu przez długie lata dziełami swemi będzie wzbogacał naukę naszą, iż nie prędko jeszcze opuści katedrę uniwersytecką, iż zdoła wychować sobie liczny poczet uczniów, którzy dalej będą prowadzili jego badania dziejów. Niestety, polepszenie to nie okazało się tak trwałem, jak tego się spodziewano. Z wiosną bieżącego roku śp. Karol Potkański począł coraz bardziej słabnąć, tak iż zmuszony był do przerwania wykładów w ostatniem półroczu z wielką szkodą i żalem licznych słuchaczów. Dla ratowania i utrzymania resztek sił udał się do Zakopanego, które nieraz już swem zdrowem, górskiem powietrzem ożywiało słabnący organizm. Kochał też śp.



Na Kalwaryi: Kościół w Kalwaryi. Na balkonie odprawia jeden z księży mszę św.



Na Kalwaryi: Kompania pątników w drodze ku stacyi Męki Pańskiej.

Potkański Tatry, które nieraz zwiedzał; należał do najlepszych taterników; gdy sił mu nie brakło, wspinał się na szczyty, których jeszcze ludzka stopa nie dotknęła. W tym roku i to ulubione miejsce zawiodło, nie przyniosło spodziewanego polepszenia. Czując się coraz bardziej osłabionym, powrócił śp. Potkański do Krakowa i tutaj młode jeszcze życie zakończył; liczył dopiero 45 lat.

Działalność naukowa zmarłego profesora już dawno została ocenioną i uznaną nietylko w kraju, lecz i zagranicą, skąd dla naszego historyka przychodziło nieraz uznanie. W historyografii polskiej zajmował nadzwyczaj wybitne miejsce; pracował nad tym okresem historyi naszej, który gubi się w zamierzchłej pomroce dziejów. Te odległe czasy pokryło już tyle wieków, jednak on swym orlim wzrokiem potrafił przebić się przez nie i dobyć na jaw życie naszych praojców. Ukochał swą pracę, jął się jej z miłością, oddawał jej swój trud i swe przyjemności, a ona odpłacała mu się też stokrotnie za tę miłość, bo odległe wieki nie zakrywały przed nim swych tajemnic.

Śladem jego działalności naukowej pozostało wiele dzieł najpierwszego znaczenia. Przedwczesny zgon niedozwolił mu wykończyć niejednej pracy, którąby wzbogacił naszą naukę. Akademia Umiejętności, której zmarły był członkiem, zajmie się zapewne jego spuścizną naukową.

Cześć jego pamięci!

Na Kalwaryi.

Od wiek wieków oddawano Matce Boskiej nadzwyczajną cześć w całej polskiej krainie. Żaden może naród nie otaczał Przenajświętszej Panny taką czcią powszechną, taką miłością bezgraniczną, jak właśnie nieszczęśliwy nasz naród. To też na wszystkich obszarach dawnej Rzeczypospolitej pełno jest wszędzie dowodów tej nadzwyczajnej czci dla imienia Matki Bożej. Świadczą o tem liczne Jej obrazy, kaplice i kościoły na Jej cześć wznoszone, świadczą instytucye z Jej imieniem złączone, świadczą liczne dotąd w kraju kongregacye sodalisów Maryańskich.

Jednym z objawów i dowodów czci ku Matce Boskiej są też Kalwarye w Polsce, z których najsławniejsza jest Kalwarya Zebrzydowska, położona na południe od Krakowa, w odległości jakich pięciu mil. Jest to małe miasteczko, liczące około 2.000 mieszkańców, a położone u stóp pokrytej lasami góry Żar.



Na Kalwaryi: Grupa pątników około studni cudownej.

Na pochyłościach tej właśnie góry leży słynny kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej, dalej klasztor OO. Bernardynów, nadto sześć mniejszych kościołów i 35 kaplic. Położone one są nadzwyczaj malowniczo i stanowią wspaniały, niezwykły widok.

Założycielem tej miejscowości był w 1602 r. wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski; wzorując się na kaplicach Kalwaryi w Jerozolimie, wybudował on cały szereg takichże kaplic w swej posiadłości.

Cudowny obraz, w głównym kościele w Kalwaryi, oraz stacye Męki Pańskiej w poszczególnych kaplicach rozmieszczone, ściągają do Kalwaryi corocznie nieprzejrzane i nieprzeliczone tłumy wiernych, zwłaszcza w dni odpustowe i w rozmaite święta, ustanowione z biegiem wieków przez Kościół katolicki na cześć Matki Boskiej.

Głównem, najuroczystszem świętem jest w Kalwaryi okres kilkudniowy, poprzedzający święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, które przypada corocznie 15-go sierpnia. Ze świętem tem złączony jest wielki odpust, a uroczystości z tego powodu urządzane trwają pełny tydzień.

Kulminacyjnym punktem jest w tym okresie tradycyjna uroczystość pogrzebu Matki Boskiej, w dniu 13 sierpnia. Mianowicie statuę Bożej Ro-

Na Kalwaryi: Tłumy pątników podążające ku górze Kalwaryi.

dzicielki niesie się w dniu tym w uroczystej procesyi, przy dźwięku dzwonów i śpiewów, do jednej z kaplic, przemienionej w rodzaj grobu i tam się ją składa. Podczas tego pogrzebu wygłaszają księża szereg kazań, a całe nabożeństwo kończy się zwykle aż o północy.



Na Kalwaryi: Odpoczynek pielgrzymów.

W dzień Wniebowzięcia statuę ową zanosi się z powrotem do głównego kościoła, wśród podobnie uroczystego nabożeństwa, przyczem znowu kapłani wygłaszają szereg pobożnych nauk.

Napływ wiernych do Kalwaryi w te dni uroczyste jest wprost olbrzymi. Całemi kompaniami schodzą się i zjeżdżają do cudownego miejsca pielgrzymi polscy i to nietylko z najbliższej okolicy, ale ze stron nawet bardzo odległych. Z całej Galicyi, nawet ze wschodniej od Lwowa i dalej, ze Śląska austryackiego, ze Śląska pruskiego, oraz Królestwa Polskiego ciągną tłumy wiernych, przejęte głęboką, serdeczną wiarą, że w cudownem tem miejscu znajdą pociechę w swych troskach, znajdą leki na swe cierpienia i niezawodne pocieszenie. To też liczba obecnych każdego roku w Kalwaryi pątników dochodzi setek tysięcy.

Do popularności Kalwaryi Zebrzydowskiej przyczyniają się prócz wiary w cudowność obrazu Matki Boskiej tam się znajdującego, oraz prócz odpustu z uczestnictwem w nabożeństwie związanego, także legendy żyjące w ustnej tradycyi wśród polskiego ludu, a szerzące wśród tego ludu wiarę w nadzwyczajność tego miejsca.

I tak znaną jest legenda, głoszona między wieśniakami, iż nad Kalwaryą około święta Matki Boskiej Zielnej spadają bardzo obficie gwiazdy z nieba. Jedynie uczestnik uroczystości odpustowych może znaleść taką gwiazdę, bo tylko on może ją dojrzeć, gdy spadnie na ziemię. Gwiazda taka, znaleziona w pobliżu cudownego miejsca, stanowi skarb wielki i nieoceniony dla tego, który ją znalazł, byle tylko nie zdradził się przed nikim z jej posiadania.

Inna legenda znowu przypisuje cudowne, lecznicze własności małej rzeczułce, przepływającej u stóp Kalwaryi, to też w dniach odpustowych można widzieć nad jej brzegiem tłumy pobożnych i dotkniętych rozmaitemi chorobami i dolegliwościami wieśniaków i wieśniaczek, zmywających sobie cudowną wodą twarz, oczy lub poszczególne członki ciała. Wszystkim im przyświeca wiara, że woda z tej rzeczułki uleczy wszelkie, jakiejkolwiek byłyby natury, choroby.

Wiara w te rozmaite, nie głoszone zresztą przez duchowieństwo legendy, jest powszechną wśród ludu naszego, to też garnie on się tłumnie, ze wszystkich stron, do cudownego miejsca.

A za tłumami pątników ciągną ku Kalwaryi corocznie szeregi żebraków, w nadziei uzbierania wśród pobożnych rzesz obfitej jałmużny. Dni odpustu w cudownem miejscu, to dla nich żniwo popłatne. Zjawiają się więc tam starcy bezsilni i kaleki w rozmaity sposób dotknięci, w brudnych, obrzydzenie wprost budzących szmatach, wyrostki na wpół zidyociałe, ślepcy itd. Liczba tych żebraków jest ogromna. Bo przybywają oni nietylko z najbliższej okolicy, ale często ze stron bardzo odległych. Przyjeżdżają koleją, a swoje wózki, kule i bagaże transportują równocześnie jako pakunki.

Od wczesnego ranka sadowią się oni przy drogach prowadzących do poszczególnych stacyj i zawodzą żałosnymi głosami. To też sypią się do ich sakiew miedziaki i niklówki, bo lud nasz jest miłosierny i wierzy, iż jałmużna dana ubogiemu wróci się mu stokrotnie.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć fotograficznych, porobionych w czasie tegorocznego odpustu na Kalwaryi przez redakcyjnego fotografa W. Lisa.

Na Kalwaryi: Pątnicy, zebrani pod kościołem

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

34 Ciąg dalszy.

Przecisnęli się przez salę i już w przedsionku posłyszeli grzmiący głos mówcy, przemawiającego na placyku:

— ...I któryż to kraj ma nazywać robotnik swoją ojczyzną? Czy ten, gdzie go wyzyskują? gdzie przymiera głodem? gdzie hańbią jego żonę i dzieci? O, nie! Robotnik idzie tam, gdzie są korzystniejsze warunki, gdzie lepsza płaca, gdzie czuje się wolniejszym. On, podobnie jak kupiec, szuka lepszych warunków zbytu swego towaru, tj. swej pracy. Dlatego robotnik nie powinien i nie może ograniczać się na jednym zakątku kraju, bo zdechnie z głodu. Dla niego musi być otwarty świat cały, bo dopiero wówczas może żyć jak człowiek, a nie jak bydlę robocze. Wiedzą o tem jego wyzyskiwacze i pragną stworzyć nowe więzienie dla robotników, nowe państwo polskie, nałożyć nowe więzy. Ale my na to nie pozwolimy, precz z państwem polskiem! precz z Polską! Złączeni z Rosyą mamy cały świat przed sobą, unikamy duszącego więzienia, unikamy kajdan i śmierci głodowej. Nie zapominajcie o tem towarzysze i wznieśmy okrzyk wspólny i on niech będzie naszem hasłem: Precz z Polską!

Jedni powtarzali, inni sykali i gwizdali, a wśród tego hałasu i gwaru szepnął Porwa:

— Mam dosyć tego... chodźmy odetchnąć innem powietrzem.

— Wiesz Porwa, trochę odmiany nie zaszkodzi, zajrzmy do kawiarni Bristolu.

Sala rzęsiście oświetlona była przepełniona publicznością, wśród której przeważali młodzi ludzie, studenci i dość strojne panie. Wszystkie stoliki były zajęte i z trudnością docisnęli się Bal i Porwa do wolnego miejsca przy większym stole, przy którym prowadzono ożywioną rozmowę.

— Wiecie koledzy — mówił jeden ze studentów — jaką szczerą sympatyę miałem dla socyalistów, bo ostatecznie każdy z nas się zgodzi, że wyzysk kapitalistyczny musi być usunięty.

— Do rzeczy Władku, co nas obchodzą twoje sympatye — zawołał wesoło kolega.

— Ale ich wczorajsze i dzisiejsze wystąpienia oburzyły mnie do głębi.

— I już godzisz się z wyzyskiem — zaśmiał się dalszy sąsiad.

— Mówię bez żartu... to ohydne dla mnie, aby robotników podniecać przeciw Polsce, gdy gniot robotników nie ustaje, gdy po czterdziestu latach zdjęto nam kaganiec i pierwszą chwilę swobody zużyli na szerzenie nienawiści do umęczonej Polski...

— Et, głupstwo! wolno psu i na Pana Boga szczekać... Kilku zwaryowanych szowinistów socyalistycznych nie można utożsamiać z ideą socyalizmu.

— Ale przeciwdziałać ich głupocie jest obowiązkiem obywatelskim — odezwał się ktoś z pobliskiego stolika.

— Uspokoją się, uspokoją — usmiechnął się sąsiad Porwy — tych esdeków i bundzistów garsteczka i sami pepeesowcy dadzą im radę.

Dlaczegóż milczą? — spytał ktoś.

— Nie koledzy — przemówił pierwszy — my nie możemy czekać, aż pepeesowcy nas wyręczą. Warszawa cała musi zaprotestować przeciw bezczelności esdeków.

— Urządźmy manifestacyę narodową! — rzekł głośno jeden z uczestników.

— Panowie — zawołał starszy pan, zbliżywszy się do stołu — manifestacya tysiąca, czy kilku tysięcy, jest zbyt nikłym objawem naszego oburzenia, niech krocie wyjdą na ulicę. Komitet dziś się zawiązał, a jutro rozeszle odezwę.

— Bardzo dobrze!... Pójdziemy!

— Pozwoli pan spytać się — rzekł Porwa — kto stoi na czele komitetu?

— Komitet obywatelski... wszystkie towarzystwa warszawskie, a prócz tego Szawelski i Brejkowski.

— Dziękuję panu, już wiem — skłonił się Porwa.

— Słuchajcie koledzy, a na pogrzeb zabitych przed ratuszem idziemy?

— Aby znów wysłuchać ich wycia na Polskę! — zawołał inny drwiąco.

— Nie idziemy — mruknęło kilku.

— Słuchaj Porwa, już po ósmej, czekają na nas — rzekł Bal.

— Chodźmy — wstał Porwa — nasłuchaliśmy się dosyć.

— Nie my nawarzyliśmy tego piwa — uśmiechnął się Bal.

— Byle nie musieliśmy go wypić — rzekł z goryczą Porwa, kierując się ku wyjściu.

W dawnem mieszkaniu Logiki i Wandy zastali Figurę. Siedział chmurny, popijał herbatę, paląc papierosy. Z przybyłymi przywitał się milcząco i pilnie patrzał w twarz Porwy.

— Byliście Figuro wczoraj i dziś na mieście? — spytał Bal, usiadłszy przy stole.

— Byłem... albo co?

— Podziwiałem waszych mowców — rzekł ironicznie Porwa — i gdybym nie miał świadków w osobie Logiki i Bala, nie uwierzyłbym.

— Jeśli mi uszy nie zwiędły — uśmiechnął się drwiąco Figura — zawdzięczam to jedynie, że mam małe uszy.

— A wiecie Logiko — zwrócił się Porwa — jeszcze dosadniejsze wyrażenia słyszeliśmy dzisiaj we Filharmonii... naturalnie są to wyjątki esdekowskie.

— Zamiast drwin, pilibyście herbatę — uśmiechnęła się Logika z przymusem.

— Czy istotnie esdecy wypierają się Polski? — spojrzała Wanda na Porwę.

— Wcale nie — uśmiechnął się — oni nie uznają jej istnienia i na równi z Rosyą i Niemcami żądają wykreślenia jej z geografii i historyi...

W tej chwili wszedł Kola, a ze wzburzonej twarzy można było łatwo odczytać, że doznał czegoś przykrego.

— Balu — rzekł Kola chmurny — czy wiecie szczegóły?

— O ile nam doniesiono — odpowiedział Porwa — ani oberpolicmajster, ani komendant w tym wypadku nie zawinili. Rozkaz wyszedł z kancelaryi generała Czerniejewa.

Przykre milczenie przerwał Kola:

— Doniesienie było prawdziwe... tylko rozkaz został wydany w nieobecności i wbrew życzeniom ojca. Telefonował Gołubiew.

— Wiadomość pewna? — zawołał Bal.

— Najpewniejsza.

— Opowiedz Kola szczegóły, mogą się przydać.

Ponieważ Kola słyszał rozmowę ojca z matką w tej sprawie, mógł więc wiernie powtórzyć szczegółowy przebieg rozkazów, dany oberpolicmajstrowi i komendantowi.

— Słuchajcie Balu — odezwał się Figura — skoro przy zniesieniu stanu wojennego Gołubiew straci wpływy, jego śmierć będzie niepotrzebnym przelewem krwi.

— Pod tym względem jestem żydem — uśmiechnął się Bal — krew za krew, ząb za ząb, oko za oko.

— Nie Balu — dorzucił Porwa — on dotknął nas osobiście i chociaż za swe projekty, a zwłaszcza za wydane rozkazy zasługuje w zupełności na śmierć, to z chwilą, gdy utraci swą władzę, jego zabicie nie będzie tylko partyjnym wyrokiem, ale zemstą prywatną.

— I ja jestem tego zdania — dorzuciła Logika.

— Niech i tak będzie — westchnął Bal — ale zastrzegam się, że skoro nadal pozostanie na swem wpływowem stanowisku, mam prawo oddać go pod sąd partyjny.

— Będziesz w porządku — rzekł Kola.

Przy kolacyi odezwał się Porwa:

— Wiecie zapewne, że dziś podjęła ruch kolej Petersburg-Moskwa.

— A jutro ma ruszyć kolej Południowa — uzupełnił Kola.

— Cóż my zrobimy? — rzucił Figura.

— Strejk przez jutro trwa — objaśniał Porwa — a pojutrze kolejarze zwołują wiec zawodowy w sprawie strejku i zatrzymania delegatów w Petersburgu.

— Czy wiecie, jakie stanowisko zajmą kolejarze? — spytała Logika.

— O ile wiem, postawią żądania narodowe.

— To bardzo dobrze — dodał Bal — zasłoni to nas od zarzutu, że idziemy przeciw społeczeństwu.

— Czy zasłoni, bardzo wątpię — mówił Porwa — wiec ten niebędzie partyjny, lecz ogólny...

— A ty Balu naprawdę boisz się zarzutu tego? — uśmiechnął się Figura.

— Po dzisiejszych mowach w Filharmonii i wysłuchaniu rozmów w Bristolu, mam to przekonanie, że nas, jako partyę polityczną, może uratować jasne postawienie stosunku naszego do esdeków.

— A mianowicie? — spytała Logika.

— Zerwanie z międzynarodówką — opowiedział Porwa — i mimo, iż jestem socyalistą, nie rozumiem waszej pracy, jako esdeków w Królestwie.

— To samo mogą powiedzieć esdecy o was — uśmiechnęła się Logika.

— Wpierw wysłuchajcie mnie i nareszcie raz wypłyńmy na czyste wody — mówił Porwa — nasze drogi jako socyalistów są wspólne o ile idzie o usunięcie despotyzmu i samowoli biurokracyi; wspólnie dążymy też do usunięcia wyzysku kapitalistycznego i osiągnięcia możliwie dobrego ustroju socyalistycznego w przyszłości. Lecz skoro z teoryi schodzimy do życia realnego, nietylko rozchodzą się nasze drogi, ale wy stajecie przeciw nam wrogo. Mojem zdaniem, wy działacie w próżni, idziecie za urojonem widziadłem nagłego, ludowego przewrotu w Rosyi i depcecie pogardliwie te siły, które wam mają pomódz i tych, dla których pracujecie.

— To za śmiały zarzut — odezwał się Figura — a dowody?

— Zaraz... Działacie w Polsce, dla robotnika polskiego, dla społeczeństwa polskiego... i równocześnie wasi mowcy wołają: precz z Polską! I co stawiacie w to miejsce?... Rosyę! Ależ ta Polska od stu lat walczy o swoją wolność. A wy ją rzucacie w znienawidzone ramiona. Od stu lat wymazano ją z rzędu państw, a wy nietylko potwierdzacie rozbiór, ale chcecie wykreślić ją z żyjących organizmów narodowych Europy? Czy to logiczne? czy rozumne?

— Źle stawiasz kwestyę — rzekł Figura — wprawdzie my z zasady nie uznajemy różnic narodowych, ale na razie godzimy się z koniecznością istnienia narodowości. Co innego jednak naród polski, a co innego państwo polskie. Państwo polskie to nowy wróg socyalizmu i dlatego jesteśmy mu przeciwni.

— Ach tak?! — zaśmiał się Bal — powiedz mi też Figura, dlaczego pragniecie państwa chociażby rosyjskiego, byle nie polskiego. Bo przecież w przyszłym ustroju socyalistycznym państwo w ten lub ów sposób będzie właścicielem produktów i produkcyi dla wszystkich obywateli i za wszystkich obywateli. Cóż wam tedy szkodzi państwo polskie, przecież Rosya jest tak olbrzymia, tak różnolita, że musi się rozpaść prędzej czy później i Polska jako jednostka kulturalna będzie stanowiła całość w sobie, a wy zamiast przyspieszyć tę konieczność dziejową, zamiast przygotować teren do ewolucyi socyalistycznej, do czego my dążymy, wy opóźniacie tę sprawę. Wiesz z historyi, że narody osiadłe nie giną, mogą się przekształcić, tę lub ową cechę rozwinąć lub jej się pozbyć, ale nie giną. Więc w jakim celu ten drażniący okrzyk: precz z Polską? Polska nie zginie jak nie zginęła, a was zwykłą koleją rzeczy albo wchłoni, albo odtrąci.

— Gdybym się nawet zgodził na twój wywód — przemówił Kola — pozostaje zawsze ciasnota waszej partyi narodowościowa, no i wasza taktyka, często oportunistyczna.

— No, darujcie Kola — rzekł Porwa — ale z was przemawia ideolog. Z narodowością muszą się liczyć w pracy społecznej o wiele, o bardzo wiele więcej, aniżeli z najpotężniejszem państwem, a nie idzie mi o głoszenie i przeprowadzenie mrzonek braterstwa ludzkości, lecz o uszczęśliwienie żywego organizmu, narodu. Kościół i różne sekty i poza kościołem wolni mularze jako cel stawiali sobie braterstwo narodów i... nic nie osiągnęli, nawet w rzeczach czysto duchowych. Wy chcecie braterstwa ekonomicznego ludów, t. zw. indogermańskich, a gdzie rasa żółta, etyopska i inne? My liczymy się z realnymi warunkami życia, a wy tylko z waszemi ideami. Zarzucacie nam, że liczymy się z wiarą katolicką, że powołujemy się na nią w poszczególnych wypadkach, bo my liczymy się z rzeczywistością, bo na razie innej etyki nie mamy, a chcąc nałożyć kaganiec zwierzęciu w człowieku, wybieramy taki, który jest najstosowniejszy, jak wykazała praktyka życia. I jeszcze raz podkreślam, że nam nie idzie o eksperymentowanie z ideami socyalistycznemi, lecz o dobro narodu, do którego należymy, za który walczymy, a w każdej walce nie teren zastosowuje się do wojska, lecz wojsko do terenu.

— Wiecie Figura — odezwała się Logika — może wczorajsze i dzisiejsze wypadki, może dowo-

dzenia Porwy i Bala... ale straciłam zaufanie w nieomylność dróg naszej partyi.

— I przerzucacie się do nich — zadrwił Figura — ależ spójrzcie na Nowy Świat, Krakowskie i na inne dzielnice bogatsze, jak się skupiają kapitaliści i burżuje w imię Polski, aby zgnieść nasz ruch. Gdyby dziś przyszły wybory, oni wybiorą tylko swoich i ustalą swe panowanie, a konstytucya rosyjska będzie naszą.

— Nie baw się w proroka — zaśmiał się Bal — nawet konstytuanta będzie co najwyżej konstytucyjnie usposobiona na wzór zachodnich opozycyj, a gdyby na swą modłę chciała państwo urządzić, musiałaby przy przeprowadzeniu użyć despotyzmu i biurokracyi, gdyż co dobre dla Rosyan, jest złe dla Baszkirów, Kaukazców, Kałmuków itd. Z tego powodu my żądamy ustroju federacyjnego, aby każdy mógł się urządzić u siebie według swej potrzeby, a wy chcecie wszystkie narody państwa rosyjskiego sprowadzić do wspólnego mianownika, co jest poprostu niemożliwem.

— A więc odstępujecie od waszego celu — zaśmiał się Figura — już nie żądacie niepodległego państwa, tylko federacyi. Doczekamy się, że przyjdziecie na nasze podwórko i zadowolicie się skromną autonomią.

— Bardzo być może — rzekł Porwa — bo dążąc do usunięcia Rosyan z Polski, nie liczymy na zupełne powodzenie, lecz na ewolucyę... tak autonomia jak i federacya to tylko formy przejściowe do niepodległości, a tej nie wyrzekniemy się nigdy!

— Nie rozumiem towarzyszu — odezwała się Wanda, patrząc na Figurę — dlaczego się tak upieracie przy zależności od Rosyi, od socyalistów rosyjskich, od ich taktyki... tylko równi z równymi, wolni z wolnymi mogą żyć po bratersku, a każde narzucenie woli, rozkazu, prawa musi doprowadzić do niechęci, kwasów, pretensyi. Szanując esdeków rosyjskich za ich walkę o wolną Rosyę, mam prawo wymagać szacunku od nich, gdy walczę o wolną Polskę.

— Macie zupełną słuszność, towarzyszko Wando — zawołał Kola — to, co słyszałem od mowców esdeckich, oburzyło mnie i nigdy żaden esdek nie ośmieliłby się powiedzieć tego w Rosyi o narodzie rosyjskim. Mieszkając tu i współczując z Polską, przyłączam się do waszej partyi.

Wanda rozpromienionemi oczyma, zaróżowiona z radości, spojrzała na Kolę. Bal nachmurzył się, Porwa i Logika uśmiechnęli się dyskretnie, domyślali się bowiem, że prócz przekonań oddziaływa na Kolę sama osoba Wandy.

— A wy Logiko — zaczął Figura — czy także pójdziecie za przykładem?

— Nigdy nie naśladuję nikogo, a tem mniej w sprawie przekonań. Namyślę się... lecz prawdopodobnie pójdę z nimi — spojrzała na Porwę i Bala.

— W takim razie nie mam tu nic do roboty — wstał Figura — i zostawiam partyjnych w partyi...

— Zaczekajcie Figura — zawołał Porwa — wszak wspólnie pracujemy dla wspólnego celu. Mam do omówienia sprawę endeków, która na równi z nami i was obchodzi.

— Dobrze... zostaję... mówcie.

— Za dwa, za trzy dni będzie pochód narodowy z manifestacyą. Endecy, korzystając z oburzenia Warszawy na esdeków, wołających: precz z Polską, chcą zmonopolizować dla swego stronnictwa uczucia patryotyczne Warszawy, a na stolicę patrzy cały kraj i naśladuje ją. Jeśli uda się endekom zjednoczyć wszystkie żywioły narodowe pod hasłem Polski, odstręczy to od nas, socyalistów, całe społeczeństwo.

— Cóż ja na to poradzę — uśmiechnął się Figura — nie pójdę walczyć o lepsze z endekami hasłami narodowemi, przeciwstawiam im moją partyjną pracę organizacyjną.

— No tak, z partyjnego punktu widzenia — mówił Porwa — wy macie racyę, ale nam, jako pepeesowcom, idzie o Polskę. Gdy ją oddamy na łup endekom, czeka nas długa i ciężka walka!...

— To wasza rzecz partyjna i bywajcie zdrowi! — wstał Figura i pożegnawszy się, wyszedł.

— Słuchajcie Porwa — przemówiła Logika — ja was rozumiem... Położenie nieszczególne, z jednej strony macie endeków z arystokracyą, klerem, kapitalistami i mieszczaństwem, a z drugiej chłopów nieuświadomionych. Co zrobicie?

— Ratując sytuacyę naszej partyi — odpowiedział Porwa — dziś w komitecie postawiłem wniosek, aby sprawę narodową i naszego stosunku do esdeków rozstrzygnął wiec ogólny. Byłem pewny, że towarzysze zgodziliby się na wielką narodową manifestacyę i w ten sposób pozyskalibyśmy społeczeństwo dla siebie... niestety przegłosowano mnie i poddałem się większości.

— Jako socyalistka byłabym przeciwna tego rodzaju manifestacyi... ale z punktu polityki i osiągnięcia wpływu mieliście zupełną racyę. Ileż głosów mieliście za waszym wnioskiem?

— Jeden jedyny głos... Igielskiego.

— Jakto i wy Balu byliście przeciw? — zawołała Logika.



— Mieszkając tu i współczując z Polską — przyłączam się do waszej partyi.

— Obawiałem się zbytniego podrażnienia uczuć narodowych i ostrego zatargu z esdekami i bundem.

— Cóż będzie teraz? — spytała zaniepokojona Wanda.

— Sprawa ma przyjść pod obrady komitetu uzupełnionego nowymi członkami — tłómaczył Bal — za kilka dni zbierzemy się. I zdaje mi się, że Porwa przecenia wpływ endeków i ich manifestacyi... to będzie fajerwerk chwilowy, na razie może się i spodoba, ale zapomną o nim.

— Na waszem miejscu Balu — odezwała się Logika — byłabym poparła wniosek Porwy. Pierwsze wrażenie bywa dla tłumów rozstrzygające... mieliście dowód na esdekach. Przypuśćmy, że dwudziestu mowców wołało przeciw Polsce, a z pewnością czterdziestu pepeesowców mówiło za Polską, ale że pierwsi byli jaskrawi, krzykliwi, bezwzględni, usunęli innych w cień i cała Warszawa pamięta tylko słowa: precz z Polską.

— No, stało się — westchnął Bal — naprawimy to. Stronnictwo endeków zacietrzewi się w legalnej walce i społeczeństwo odwróci się od nich, a my jako partya czynu weźmiemy górę.

— Może... zależy to od składu komitetu — rzekł Porwa wstając — a jutro zapraszam was na wiec kolejowy.

XIV.

Wiec kolejarzy był bardzo liczny, przybyli bowiem i telegrafiści i urzędnicy pocztowi, którzy przyłączyli się wszyscy do strejku kolejowego. Obok niższej służby kolejowej stali urzędnicy ruchu, kontroli, inżynierowie, telegrafiści, a wszyscy z gorączkowem napięciem czekali rezultatu wiecu. Pierwszy wystąpił niemłody urzędnik i z upoważnienia dyrekcyi oznajmił zebranym, że rząd, uznając pewne nieprawidłowości w płacy, w przyjęciu i oddaleniu funkcyonaryuszy kolejowych, obowiązuje się te sprawy w myśl żądań załatwić w jak najkrótszym czasie. Dyrektorowie kolejowi i wyżsi urzędnicy spodziewali się entuzyazmu zebranych i głośnego zadowolenia z ustępstw ekonomicznej natury. Tymczasem tłum pozostał chmurny, a pomruki niezadowolenia przebiegały jak dreszcze zgorączkowanego człowieka. Wreszcie na mownicę wszedł jeden z maszynistów, potarł spracowaną ręką czoło i zaczął:

— Nie o podwyżkę pensyi, nie o prawne przepisy dla kolejarzy, nie o kasę emerytalną zaczęliśmy ten strejk ale o wolność. Zamiast wolności dają nam konstytucyę, niczem nie zabezpieczającą zdobytych swobód... i w takiej nawet gołosłownej konstytucyi niema wzmianki o naszych, o polskich prawach.

Z nieopisanym zapałem przyjęto te szczere, z wielką prostotą wypowiedziane słowa. Mowcę pochwycono na ramiona, a wiwaty nie ustawały. Gdy się cokolwiek uciszyło, wszedł na mownicę dyrektor kolei i przemówił:

— Z rozkazu jego ekscelencyi ministra Chiłkowa mam zaszczyt oznajmić panom, że rząd uwzględnia sprawy kolejowe, ale sprawy polityczne i społeczne są wykluczone i żadnych rezolucyi rząd nie przyjmie.

— Precz!.. Hańba!... Milczeć!

Dyrektor pobladł i milczał. Wśród wiecowników odezwały się głosy:

— Niech skończy!... Uciszcie się!

— Panowie!—zaczął dyrektor — przemawiam do was z urzędu, kazano mi i muszę słuchać rozkazu. Otóż pan minister żąda, abyście panowie zaprzestali strejku w ciągu trzech dni i w takim razie strejk nie pociągnie za sobą żadnych następstw i nikt nie ulegnie karze.

— Dosyć!... Zejdź pan!... Precz!

Jeden z kolejarzy wskoczył na mownicę i zawołał:

— Wnoszę, abyśmy nad oświadczeniem ministra przeszli bez dyskusyi do porządku dziennego!...

Burza oklasków była odpowiedzią, a kolejarz kończył z uśmiechem:

— Wniosek przyjęto przez aklamacyę, a teraz rozważmy koledzy, jak sformułować nasze żądania...

Po szczegółowej dyskusyi wiec kolejarzy uchwalił strejk dalszy, póki rząd nie uzna polskiego języka jako urzędowego w szkołach, urzędach i na kolejach, a również, aby tem większy nacisk wywrzeć na rząd, wezwać wszystkich pracowników do powszechnego strejku.

Po skończonej uchwale jeden z mowców wezwał kolejarzy, ażeby wszyscy przyjęli udział w niedzielnej manifestacyi narodowej.

Odezwały się pojedyncze głosy przeciw udziałowi, lecz gdy ten mowca zaznaczył, iż manifestacya taka poprze żądania kolejarzy, olbrzymią większością głosów przyjęto wniosek, za którym byli nietylko endecy i bezpartyjni, ale i pepeesowcy. Jedni tylko esdecy byli przeciwni, ale była ich tak mała garstka, że utonęła w ogromnym tłumie wiecowników.

Przy wyjściu z placu wiecowego spotkał się Porwa z Logiką i Wichrem a ten ostatni, podniecony uchwałą strejkową, mówił uradowany:

— Jesteśmy w przededniu olbrzymiej rewolucyi!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zajścia w Marokku.

Bunt ludności marokkańskiej, który z największą siłą wybuchł w Casablanca, został już prawie w zupełności stłumiony. A stłumiły go nie proklamacye, nie odezwy — lecz huk wystrzałów armatnich i kule, które miejscowość tę zasypały od strony morza. Kiedy mianowicie sytuacya w Casablanca stała się wręcz dla Europejczyków groźną, wojska francuskie zdecydowały się wreszcie na krok stanowczy, na bombardacyę miasta Casablanca.

Ofiarą tego energicznego postąpienia wojsk francuskich, padło kilkuset tubylców. A choć początkowo wiadomość o bombardacyi wywołała jeszcze większe wzburzenie umysłów wśród szczepów marokkańskich, zwłaszcza w tych okolicach, gdzie i cudzoziemcy mieszkają, to jednak później spowodowała ochłonięcie sfanatyzowanych Marokkańczyków. Wpłynęła na tę zmianę i ta okoliczność, iż ludność tubylcza przekonała się o bezskuteczności czarów, zaklęć i amuletów przeciw europejskim granatom.

Bombardacya miasta Casablanca i jego zajęcie nie przyszło Europejczykom zbyt łatwo i nie bez wielu ofiar. W przeddzień bombardacyi część załogi okrętu „Galitéa“ wysiadła na ląd i udała się do miasta celem ochrony konsulatu francuskiego.

Tymczasem w mieście szerzyła się grabież oraz rabunki, a szczupły oddział francuskiej armii nie mógł im zapobiedz. W rabunkach tych brały udział tubylcze szczepy, dalej żołnierze z armii sułtańskiej oraz kobiety. Nareszcie wylądowały wojska francuskie pod wodzą admirała Philiberta a pomoc ta nadeszła w samą porę, gdyż zmęczone zaciętą obroną oddziały francuskie, oraz hiszpańskie i angielskie, które broniły swych konsulatów, nie długo byłyby się mogły opierać. Równocześnie wzmocniono ogień z dział okrętowych, który wyrządził sporo szkód w mieście ale też ostatecznie wpłynął na uspokojenie się ludności. W rezultacie wojska francuskie obsadziły miasto i port.

Nadchodzące obecnie wiadomości z Marokka brzmią coraz pomyślniej i donoszą o kolejnem uspakajaniu się anarchii.

Japończycy na Korei.

Umiejętność Japończyków w przeprowadzaniu swych planów najjaskrawiej wystąpiła przy zaborze Korei. Dyplomaci z Tokio wykazali, iż w niczem nie ustępują swym europejskim kolegom, a nawet przewyższają ich zręcznością w dokonywaniu operacyj na całych narodach.

Najświeższym tego przykładem pozostaje ciągle jeszcze Korea, z której nadchodzą do Europy coraz rzadsze, lecz i coraz straszniejsze wieści o bezwzględnem tłumieniu wszelkich wysiłków pokonanego narodu w odzyskaniu dawnej wolności.

Japonia w dobrze zrozumianym własnym interesie, nie chce chwalić się przed Europą z najświeższych swych czynów, stara się też usilnie pokryć tajemnicą swe ostatnie zwycięstwa, a zwłaszcza sposoby, jakimi je osiągnęła. Dla zachowania pozorów, rząd japoński wysyła specyalne komunikaty, iż w Korei wszystko w porządku; niestety prywatne wiadomości korespondentów europejskich przedstawiają rzecz całą we wręcz odmiennem świetle. Bezustanne represye, wyroki śmierci bez sądów, brutalne gnębienie ludności, mają utrzymać spokój w pokonanym kraju.

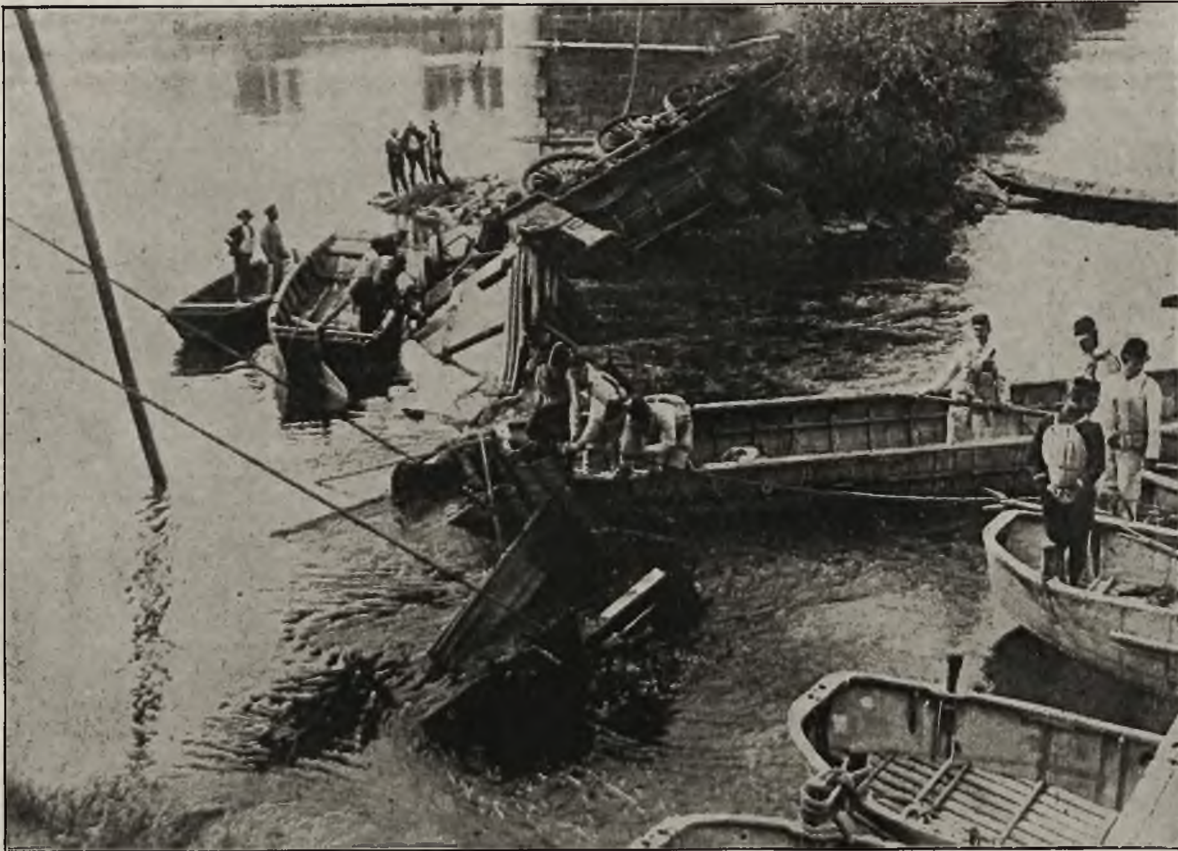
Nasza rycina przedstawia jeden epizod działalności Japończyków w Korei. Oto w miejscowości Tam-Yang, w prowincyi Tjan-la-to, kilku Koreańczyków zbliżyło się z ciekawości do świeżo założonego toru kolejowego, z którego wyrwano w nocy kilka szyn. Nic niewinni Koreańczycy zostali pojmani przez Japończyków i bez sądu za swą ciekawość skazani na śmierć; spełnienie wyroku odbyło się czysto po japońsku. Nieszczęśliwe ofiary, jak wskazuje nasza rycina, przywiązano do krzyżów, by służyli za cel strzałów podczas ćwiczeń wojskowych. Obok stojący oficer z karnetem w ręku, notował celność strzałów, nie zwracając uwagi na stan, w jakim znajdowały się ofiary; pokrwawione ciała, z porozrywanymi żołądkami, z jelitami na wierzchu, cierpiały okrutne męki, aż do ukończenia ćwiczeń. Wszystko to jednak nie wzbudziło litości u oprawców. Spędzone tłumy mieszkańców musiały patrzeć na tę okrutną egzekucyę swych braci. Tak Japonia zaszczepia miłość do swych rządów.



Zajścia w Marokko: Miejsce w Porcie Casablanca, gdzie zabito dziesięciu Europejczyków.



Japończycy na Korei: Srogie egzekucye, dokonywane przez Japończyków na mieszkańcach Korei.



Katastrofa kolejowa we Francyi: Akcya ratunkowa pionierów francuskich.

Katastrofa kolejowa we Francyi.

Nie przebrzmiało jeszcze echo strasznego wypadku pod Trzemesznem, o jakim pisaliśmy w poprzednim numerze, a już kroniki kolejowe notują świeży, przewyższający swą okropnością wszystkie, jakie w ostatnich latach wstrząsnęły opinią publiczną. Gdy doszukujemy się przyczyn tych katastrof, to widzimy, iż w przeważającej liczbie wywołały je nie żywiołowe kataklizmy, nie złowrogi los, lecz chciwość przedsiębiostw kolejowych, by przy największych oszczędnościach największą też mieć dywidendę. Brak sił ukwalifikowanych, drobne poprawki zamiast gruntownej przebudowy, cały jednem słowem „szparsystem“ jest istotnym sprawcą śmierci dziesiątek ludzi. Okropną katastrofę we Francyi wywołało także niedbalstwo zarządu drogi żelaznej.

Pociąg zdążający do Poitiers, musiano przetrzymać po nad oznaczony czas w Angers z powodu wielkiego natłoku publiczności; doczepiono tedy do wozu pakunkowego wagon trzeciej klasy, który zajęli robotnicy z tamtejszych kamieniołomów. Piękna pogoda zachęcała wszystkich do wywczasów nad Loarą, której brzegi łączy most żelaznej konstrukcyi, długi na 318 mtr. Gdy pociąg z Angers wjechał na ten most, nagle rozległ się przeraźliwy trzask, huk pękających wiązań żelaznych, rozpaczliwy krzyk ludzi, a z rzeki wzbiły się do góry całe wodotryski wody — parowóz, wóz pakunkowy i pierwszy wagon trzeciej klasy wpadły do rzeki, reszta zaś pociągu wstrzymaną została hamulcami Westing-house'a.

Gdy przerażeni podróżni wybiegli z wagonów, oczom ich przedstawił się straszny widok: most połamany, w dole spiętrzona lokomotywa i dwa wozy, na kraju mostu, tuż nad przepaścią wysoką na 7 metrów, reszta pociągu. Okropny ten widok tak podziałał na wielu, iż pędem zaczęli biedz z powrotem po moście, jakby ich straszna zmora rozpaczy goniła. Przytomniejsi zaczęli odrazu ratować, lecz nadaremnie; pięćdziesiąt osób straciło życie. Palacz i prowadzący pociąg, znajdujący się w chwili katastrofy w wozie pakunkowym, wskoczyli w fale rzeki i umiejętność pływania wybawiła ich od śmierci. Natomiast podróżni wagonu trzeciej klasy, który był zamknięty, nie mogli się wcale ratować, bo nawet nie było czasu na otwarcie drzwi. Wszyscy zginęli. Straszny był widok wydobywanych ciał ludzkich z tego wagonu, pokrytego zupełnie wodą. Wszystkim obecnym łzy oczy zalały na widok zwłok małego dzieciątka, które w zaciśniętej kurczowo rączce trzymało lalkę; jakże ta dziecina kochała swą towarzyszkę, kiedy nawet w chwili śmierci nie wypuściła jej z pod swej opieki.

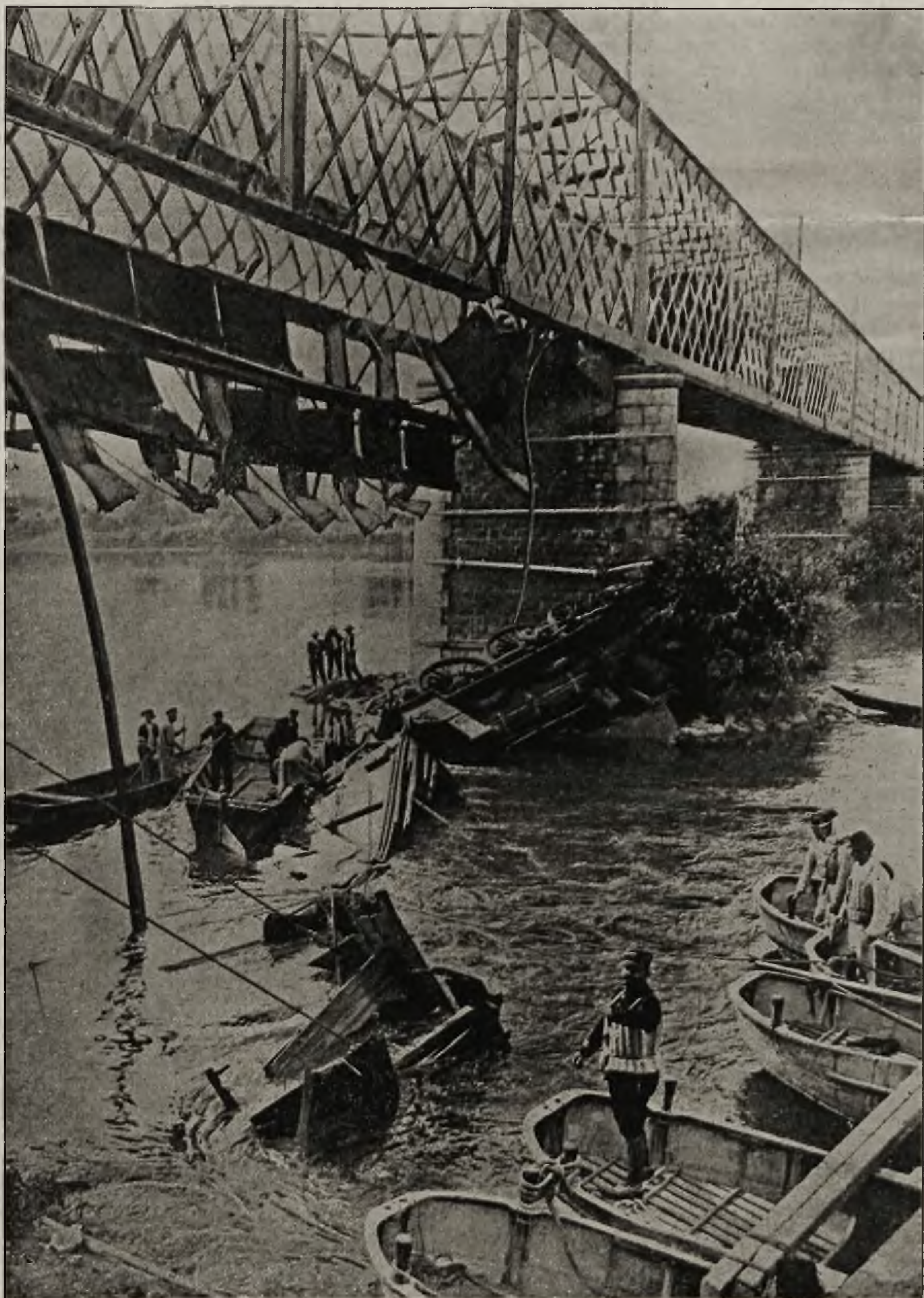
Na miejsce katastrofy zjechały zaraz władze, przybył także minister komunikacyi Barthou i rozpoczęto śledztwo. Całą winę ponosi dyrekcya kolei, bo wiązania mostu były tak osłabione, iż musiały bezwarunkowo ustąpić pod naciskiem ciężaru; przytem pociągi przejeżdżają ten most z szybkością 60 klm., według obliczenia zaś inżynierów powinny zwolnić bieg do 30 klm. Już przed kilkunastu laty zdarzył się na tem samem miejscu wypadek, nie tak jednak groźny, jak obecny; dokonano wtedy lekkich poprawek, które nie usunęły niebezpieczeństwa, jak o tem naocznie zarząd kolei się przekonał.

Na wieść o katastrofie zbiegły się z okolic tysiące ludności, bo zabici podróżni należeli do tamtejszych mieszkańców. Jechali tylko do pierwszej stacyi, by na łonie natury odpocząć, a znaleźli wieczny odpoczynek w śmierci. Nikt też nie opisze rozpaczy, scen tragizmu, obłędu, jakie rozgrywały się przy dobywaniu zwłok.

Złotodajny szyb.

Wielką sensacyę na rynku naftowym, oraz ogromny przewrót w cenach ropy spowodowała wiadomość, która przed paru dniami nadeszła z Borysławia, iż jeden z tamtejszych szybów, mianowicie szyb „Wilno“, wyrzucać rozpoczął niezmiernie ilości ropy; osiągnął on rekord w produkcyi wszystkich szybów galicyjskich, dostarczając dziennie przeszło 100 wagonów cennego płynu. Wybuch ropy nastąpił dość niespodziewanie, a z taką gwałtowną siłą, iż wszystkie zbiorniki wnet się zapełniły, a ropa poczęła przelewać się do potoku. Celem zaś nie dopuszczenia do dalszego przelewania się i uchodzenia jej, zajęto się niezwłocznie budową olbrzymich tam.

Wydatność „Wilna“, oraz kilku innych szybów borysławskich, spowodowała gwałtowny spadek cen ropy. Różnica jest olbrzymia, bo z 4 kor.



Katastrofa kolejowa we Francyi: Widok połamanego mostu na Loarze po katastrofie.

za 100 kg., spadła na 1·20 kor. Dalszem następstwem nadmiernej produkcyi „Wilna“ jest to, iż „Petrolea“, instytucya pośrednicząca między producentami a rafineryami i zajmująca się magazynowaniem ropy, oraz dostarczająca zaliczek producentom, wstrzymała działalność tę w obu kierunkach.

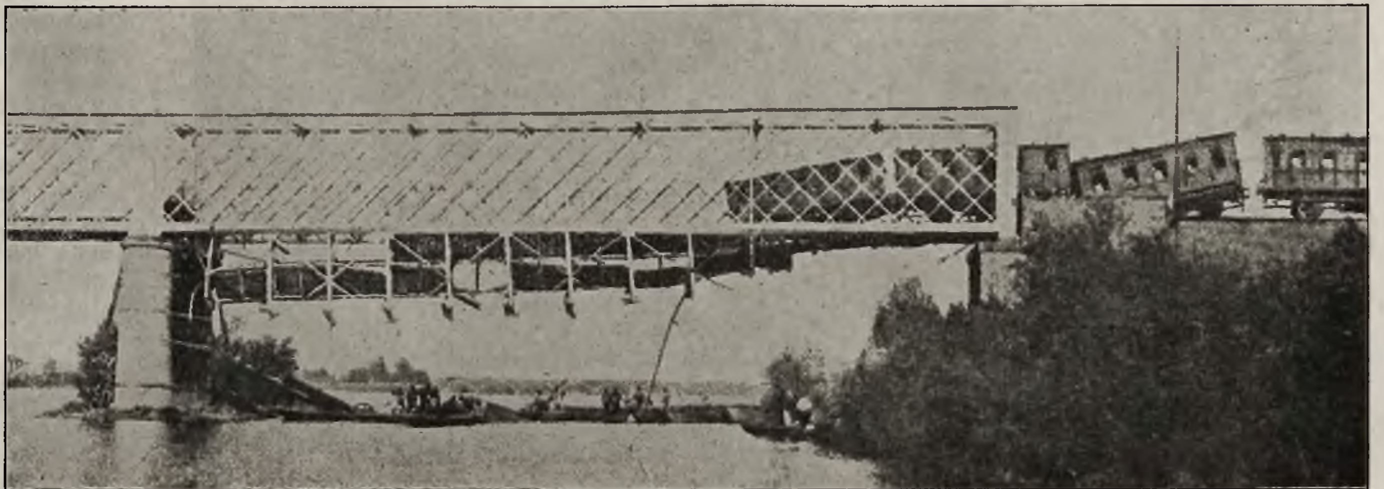
Świeży ten wypadek w Borysławiu jest nowym dowodem, że w Galicyi są jeszcze ukryte bezcenne skarby i że przemysł naftowy, choć niejednokrotnie bardzo ryzykowny, jest przecież w razie pomyślnego obrotu sprawy, nadzwyczaj popłatny. Średnia produkcya ropy zwraca w przeciągu paru tygodni wszelkie włożone w przedsiębiorstwo kapitały, a następnie daje piękny czysty dochód.

Pomyślną tę wiadomość o bajecznej produkcyi ropy w szybie „Wilno“, zamąciła smutna a równocześnie stamtąd nadeszła wiadomość o katastrofie w Borysławiu, a mianowicie o pożarze trzechszybów sąsiadujących z „Wilnem“. Katastrofa była jedną z większych, a prócz ogromnych strat materyalnych pociągnęła za sobą śmierć jednego z wiertaczy. Przy usilnej akcyi ratunkowej udało się pożar zlokalizować i nie dopuścić go do „Wilna“.

Zdjęcie szybu „Wilno“, przedstawiające jak przelewająca się ropa spływa do potoku, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Skon mistrza tonów.

Zmarł w ubiegłym tygodniu jeden z najwybitniejszych muzyków współczesnych, Józef Joachim, genialny skrzypek-wirtuoz, ceniony kompozytor i znakomity pedagog. Zmarł w wieku sędziwym, przeżywszy 76 lat, ciesząc się sławą powszechną, uwielbiany przez wszystkich tych, którzy mieli sposobność słyszeć go kiedyś.



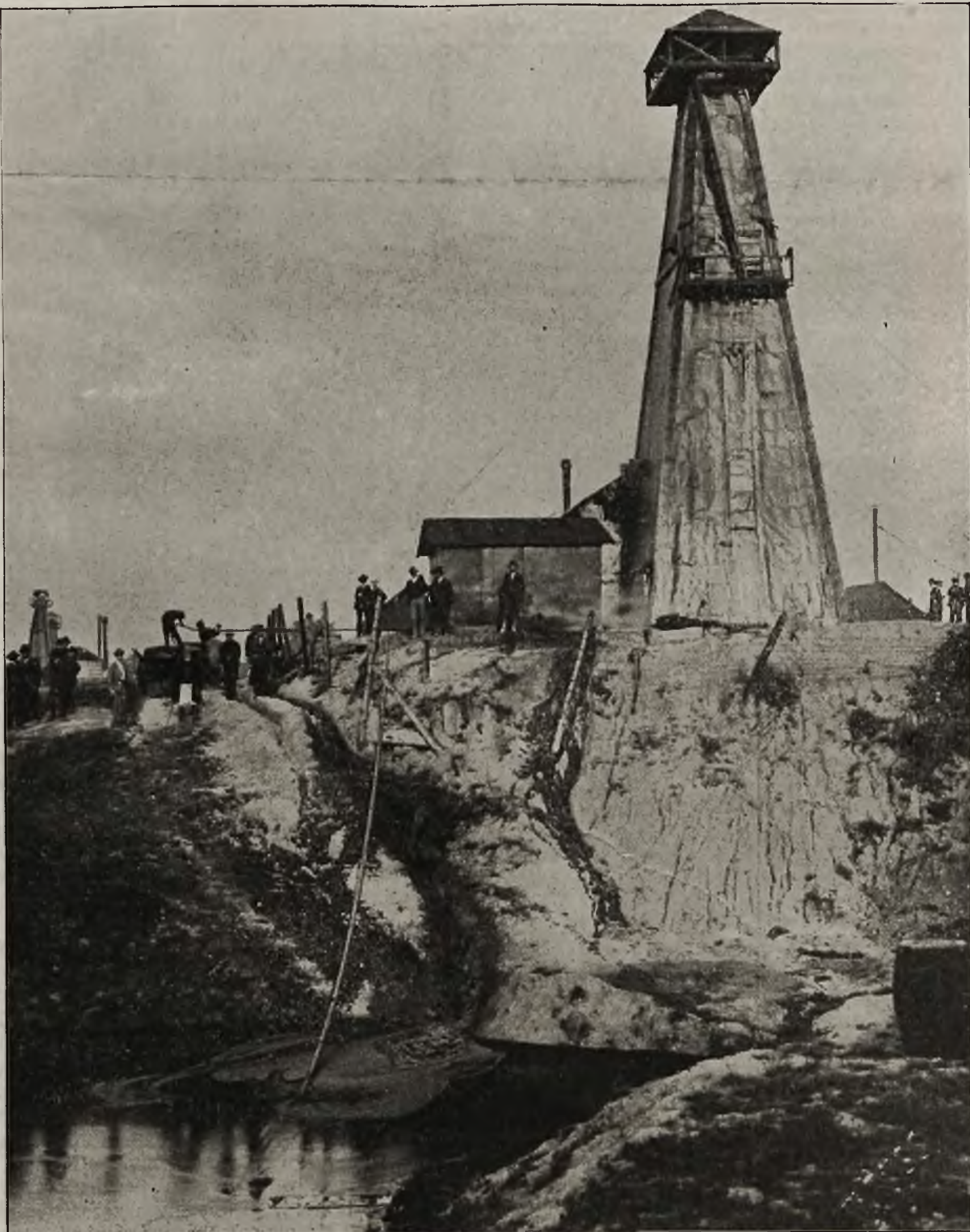
Katastrofa kolejowa we Francyi: Ocalałe wagony nad brzegiem przepaści.

Zmarły muzyk rozpoczął swą karyerę w dziecięcym wieku. Urodzony w 1831 r. w Kittsee pod Preszburgiem, Węgier z pochodzenia, zwrócił uwagę na swe zdolności muzykalne już jako dzieciak. Pierwszych początków nauki gry na skrzypcach udzielał mu Polak, Stanisław Serwaczyński. Jako siedmioletni chłopak wystąpił Joachim po raz pierwszy na koncercie w Budapeszcie. Dalsze studya pobierał u Böhma we Wiedniu, a następnie w Lipsku u Mendelsohna i Hauptmana. Światową sławę zdobył w Londynie, gdzie jako kilkunastoletni chłopak grał niesłychanie trudny koncert Beethovena. W latach następnych przebywał Joachim kolejno w Weimarze i Hanowerze jako koncertmistrz, aż w 1868 r. mianowany został dyrektorem, założonej podówczas „Hochschule“ w Berlinie. Na stanowisku tem pozostał aż do ostatnich dni życia.

Jako skrzypek-wirtuoz należał Joachim do największych; sławą swą dorównywał Paganiniemu. Szczególnie jako wykonawca Beethovena, oraz Brahmsa nie miał sobie równych. Gra jego była prawdziwie klasyczną, wolna od wszelkich płytkich efektów. Mimo to Joachim występował w późniejszym okresie życia bardzo rzadko jako wirtuoz, a poświęcił się głównie swemu kwartetowi, słynnemu w całym świecie.

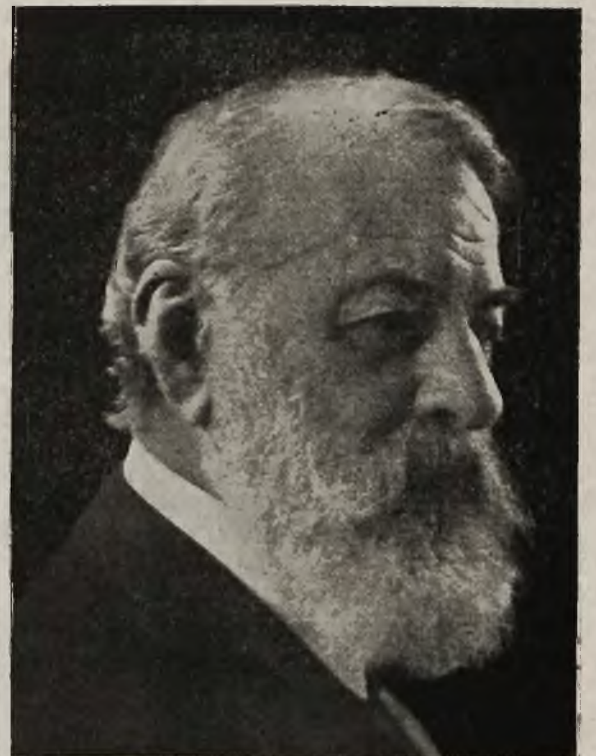
Imię Joachima głośne jest również jako pedagoga. Ze szkoły jego wyszedł cały zastęp sławnych dziś muzyków, jak Gregorowicz, Cetri, Halir, Auer, a z naszych Wolfstal, Huberman i Pulikowski.

Równie wielkim był Joachim jako kompozytor a jego koncert węgierski, romanza c-dur i melodye hebrajskie grywane są przez wszystkich niemal skrzypków.



Fot. W. Russ Drohobycz.

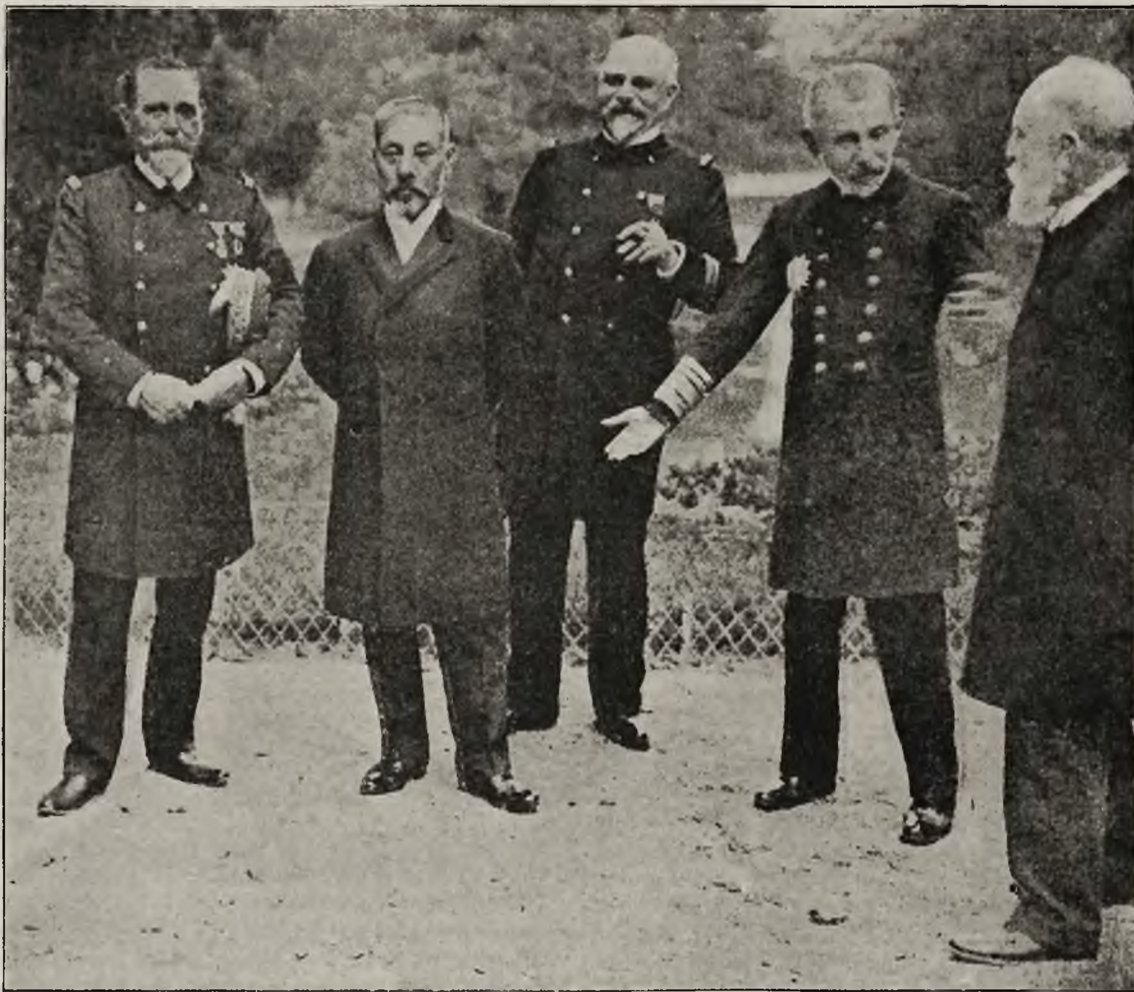
Złotodajny szyb: Borysławski szyb »Wilno«. Poniżej wieży widać spływającą do potoku ropę.



Skon mistrza tonów: Józef Joachim.

Z Joachimem schodzi do grobu potężny kawał historyi muzyki w XIX wieku. Był on uczniem Mendelsohna, przyjacielem i ulubieńcem Schumana, Brahmsa, Liszta, Rubinsteina, Wieniawskiego i Lipińskiego. On jeden z pierwszych zwrócił uwagę na piękność utworów Brahmsa i zapewnił mu popularność. Podobnie jak Brahmsem, opiekował się chętnie innymi wybitnymi talentami a wielu zdolnych a ubogich uczniów swych kształcił bezinteresownie. Skromny zawsze a szczery, cieszył się też nietylko sławą wielką ale i miłością powszechną swych uczniów i przyjaciół.

Sympatyczna, osiwiała głowa jego, o szlachetnych, pięknych rysach twarzy, już na pierwszy rzut oka wskazywała — iż to człowiek i zdolności nie przeciętnych i dobroci serca niezwykłej.



Wizyta japońska we Francyi: Po przyjęciu w lasku Bulońskim: admirał Goro-Ijuin, ambasador Kurino, admirał Fournier i dyrektor warsztatów okrętowych Bertin.

Wizyta japońska we Francyi.

Japonia po nominacyi swej przez Europę na stanowisko pierwszorzędnego państwa, dopełnia obecnie form towarzyskich, jakie obowiązują nie tylko zwykłych ludzi, lecz i mocarstwa między sobą.

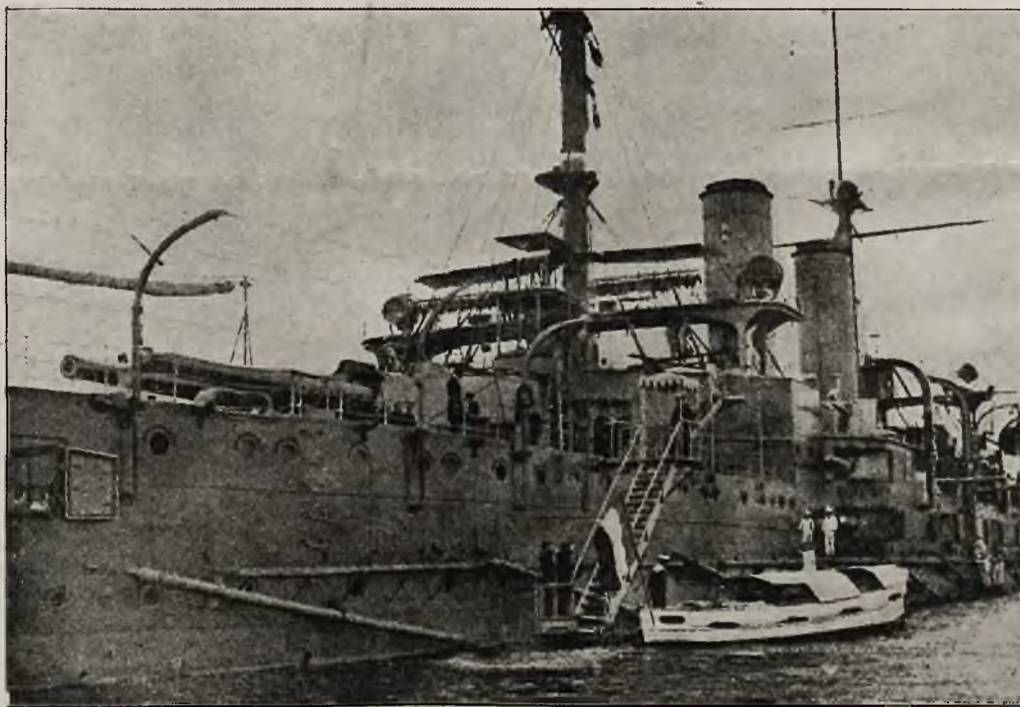
Najzwyklejszym objawem tych towarzyskich stosunków międzypaństwowych są wizyty monarchów n zaprzyjaźnionych narodów, albo też ich zjazdy na terytoryach neutralnych.

Ostatnie dni notują aż trzy takie polityczne zjazdy i wizyty, a to cesarza Mikołaja II. z cesarzem Wilhelmem II. w Swinemünde, króla angielskiego Edwarda z cesarzem niemieckim Wilhelmem w Wilhelmshöhe, wreszcie króla angielskiego z cesarzem austryackim Franciszkiem Józefem w Ischlu.

Te ostatnie odwiedziny, choć najmniej były głośne, najwięcej pewnie miały cech przyjaźni. Obaj monarchowie sędziwi i poważni, niejednokrotnie już w życiu się spotykali, a że państwa im podległe zdala leżą od siebie i nie mają prawie w swej polityce punktów stycznych, więc i nic szczerości w stosunkach nie stoi na przeszkodzie.

Nic nie słychać dotychczas, by cesarz japoński Mutsu-Hito wybrał się z wizytami na dwory europejskie, wysłał jednak na razie swą flotę, która odwiedza obecnie porty zagraniczne, a ostatnio zjechała do Francyi. W Breście nastąpiło ciekawe spotkanie Japończyków z flotą amerykańską. Wiadomo powszechnie, iż pomimo ciągłych urzędowych zaprzeczeń, stosunki między temi mocarstwami są dość naprężone, tak iż bardzo łatwo mogą one pęknąć i doprowadzić nawet do wojny. Na razie jednak, aż do pierwszego wystrzału armatniego, kodeks dyplomatyczny nakazuje zachowywanie wszelkich pozorów przyjaźni. Japończycy i Amerykanie wymieniali przy spotkaniu w porcie najserdeczniejsze ukłony, a potem na uczcie, wydanej przez prefekta Brestu, oficerowie obu flot zabawiali się przez cały czas z największą wzajemną kurtuazyą. Wkrótce flota amerykańska odjechała, a Brest podejmował tylko japońskich gości. Jak zwykle w takich wypadkach jedna uczta następowała po drugiej. Francya starała się przyjmować ich najsolenniej, pokazując zamorskim przybyszom całe piękno swego kraju. Tak naprzykład na jednym garden-party zaprezentowano zebranym gościom najpiękniejsze Francuzki, w uroczych strojach narodowych, a każda prowincya Francyi miała swą przedstawicielkę w malowniczym stroju swych okolic.

Nie mniej świetnem było przyjęcie japońskie, jakie admirał Goro-Ijuin wydał na pokładzie okrętu Tsu-Kuba. Znanem jest powszechnie przywiązanie Japończyków do swych tradycyj narodowych, ich umiłowanie gier, maskarad, przedstawień, jakie przypominają im dawną przeszłość. Nawet podczas ostatniej wojny żołnierze japońscy, ubrani na sposób pruski, chowali pieczołowicie w swych tornistrach stroje narodowe, by je przywdziać podczas uroczystości urządzanych po zwycięskich walkach. Tego rodzaju przedstawienie ofiarowano na pokładzie Tsu-Kuby zaproszonym gościom. Przed audytoryum, w którem wspaniałe mundury świeciły się obok strojnych toalet damskich ostatniej mody, wystąpili marynarze japońscy. Kurtki i czapki zastąpili długiemi tunikami i gęstemi maskami, w ręce pochwycili starożytne szable swych przodków, z których każda jest pięknie rzeźbiona i bogato inkrustowana srebrem i zaczęła się starożytna walka japońska, w której jeden z przeciwników musiał zawsze poledz. Obraz takiej dawnej potyczki, zwłaszcza przez kontrast z otoczeniem współczesnem, przedstawił niezwykle ciekawy widok.



Wizyta japońska we Francyi: Japoński krążownik »Tsu-Kuba«.

Po uroczystościach w Breście, admirał Goro-Ijuin przybył do Paryża, by z rozkazu swego cesarza złożyć pozdrowienia prezydentowi francuskiemu. I tutaj według ceremonyału prezydent Fallières, jak również i minister marynarki, Thomson, wydali na cześć japońskich gości przyjęcia, podczas których wymieniono toasty. Przed odjazdem z Paryża Japończycy podejmowali francuski sztab marynarki śniadaniem na czterdzieści osób w lasku bulońskim, w pawilonie Armenonville. Rycina nasza przedstawia właśnie gości, wychodzących po śniadaniu. Dwie drugie ryciny wyobrażają okręt amerykański „Tannessée“ i japoński krążownik „Tsu-Kuba“.





Wizyta japońska we Francyi: Amerykański okręt »Tannessee«.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

3 (Ciąg dalszy).

Rozmawiając w ten sposób, zbliżyli się machinalnie do ławki.

Brzuchacz pochylił się nad pijakiem, który chrapał w najlepsze.

— Co za kurtka — szepnął z zachwytem i pożądliwością — marzę o takiej, byłaby jak zrobiona dla mnie. No cóż, idziemy do roboty?

— Skoro chcesz tego.

„Stalowe serce“ namyślał się tylko dla formy. Już od chwili zauważył, podczas gdy Brzuchacz zachwycał się kurtką, że nieznajomy posiadał bardzo przyzwoite spodnie. Zaczęli więc przeszukiwać kieszenie ze zręcznością, która zdradzała długoletnią praktykę. Pijak nie zdawał się nic czuć i spał dalej. Złodzieje zabierali się już do rozbierania go, gdy zaszedł wypadek niespodziany. Brzuchacz podniósł bezwładne ciało, a „Stalowe serce“ ściągał z niego spodnie, gdy nagle porządne uderzenie w nos odrzuciło go zakrwawionego o kilka kroków — a równocześnie pięć żelaznych palców uchwyciło krawatkę Brzuchacza, zaciskając ją silnie.

— „Stalowe serce“ do mnie! — zawołał nędznik, nawpół uduszony.

Ale towarzysz jego już uciekał w stronę dzielnicy i w chwili, gdy Brzuchacz ostatnim wysiłkiem chciał wyrwać się z rąk nieznajomego, uczuł zimną lufę rewolweru na skroni.

— Jeżeli krzykniesz tylko, lub uczynisz ruch jakikolwiek, jesteś zgubiony — szepnął mu do ucha głos, w którym się przebijała stanowczość i ironia.

ROZDZIAŁ II.

Rigolo śledzi.

Brzuchacz zrozumiał, że niema dla niego innego wyjścia, tylko milczenie. Jednakże nie posiadał on natury spokojnej i biernej, nie mógł zamilknąć bez protestu.

— Cóż tam do dyabła! — zamruczał — człowiek widocznie nie jest bezpieczny na ulicach Paryża. Cóż to za sposób postępowania z ludźmi i gdybym tak był w gorszym humorze...

— Milcz!

— Phi! Więc i rozmawiać nie wolno o tej godzinie? Przynajmniej w świecie dobrze wychowanym oznajmia się swoje nazwisko, żeby później, kiedyś...

Tajemniczy człowiek tymczasem rozluźnił cokolwiek krawatkę nędznika i zmusił go, aby usiadł na ławce. W tej samej chwili światło pobliskiej latarni oświetliło jego twarz i Brzuchacz, który nie spuszczał go z oczu, drgnął zdumiony.

— Rigolo! — krzyknął z przestrachem.

— Ach! ach! poznajesz mnie — odpowiedział ze słodką ironią — nie zapomnę o tem. Chwali ci się, że nie zapominasz o swoich przyjaciołach.

— A więc to dla mnie zagrałeś pan tę sztuczkę?

— Tylko dla ciebie i czuję się bardzo zadowolonym, że mi się to tak udało! Nie ruszaj się! Zresztą ostrzedz cię muszę, że o kilka kroków stąd czeka dwóch moich wiernych towarzyszy, którzy czuwają, abyś mi nie umknął; a potem nie potrzebujesz się obawiać, nie o ciebie mi chodzi, ale o tego, dla którego pracujesz.

Rigolo usiadł obok Brzuchacza, trzymając w ręce ciągle rewolwer z odwiedzionym kurkiem i śledząc każdy ruch złodzieja.

— No, mój drogi, nie będziemy się bawić w rozwiązywanie szarad. Ty wiesz, kto jestem, ja zaś wiem, kto ty jesteś, nie bawmy się jak dzieci, tylko porozmawiajmy, jak para dobrych przyjaciół. No cóż, zgadzasz się?

— O czem chcesz pan, żebym mówił?

— O wszystkiem, co mnie zajmie.

— Pan wie, że nie należę do ludzi, którzy sprzedają tajemnice.

— Nie sprzedasz nic, tylko ładnie i grzecznie odpowiesz na moje pytania, oto wszystko. Zgadzasz się?

Brzuchacz ruszył ramionami.

— Skoro pan chce — odpowiedział na pozór z przedziwną obojętnością — to pytaj mnie; ale muszę panu powiedzieć, że ja o niczem nie wiem.

— A więc tylko dla spaceru przyszedłeś dzisiaj krążyć o tej porze koło willi Senneterre?

— Czy tu jest taka willa?

— Chcesz być dyskretnym? dobrze, pomogę ci. Dziś po południu ktoś, kogo ja znam, otrzymał bilet wzywający go, by udał się o północy na ulicę Gabryela do willi Senneterre.

— A więc co?

— A więc za parę minut wybije godzina dwunasta.

— Pozwól pan swojego zegarka, żebym się przekonał.

— Nie graj ze mną, chcę wiedzieć, z czyjego rozkazu znajdujesz się tutaj w tem miejscu, które obrano na zasadzkę?

Brzuchacz odsunął się trochę od Rigola i przypatrywał mu się złośliwie.

— A więc powiem panu — rzekł — że to wszystko jest śmieszne. Mówię to szczerze! Gra nie warta świeczki i napróżno się pan fatygujesz, mój zacny zwierzchniku, nic się dziś wieczór nie dowiesz.

— A więc, przykro mi niezmiernie, że zawiedziesz swoich przyjaciół, ale będą cię mogli powołać w Conciérgerie.

I mówiąc to Rigolo, uchwycił Brzuchacza za kołnierz i podniósł rewolwer do jego skroni. Błyskawica złości strzeliła z oczu złodzieja, a z piersi wyrwał się dziki okrzyk. Coś strasznego mogło się stać za chwilę. Rewolwer nie przestraszał już nędznika, który zaczajony gotował się do skoku. W tej chwili jednak Rigolo roztargniony odwrócił się, patrząc w ulicę. Brzuchacz skorzystał z tego i jednym olbrzymim susem odsadził się od niego kilka kroków i znikł pod cieniem gęstych drzew. Stało się to tak nagle, że złodziej potrafił już odbiedz dość daleko, a Rigolo nie myślał jeszcze o gonitwie za nim. Gonitwa byłaby zresztą bezowocna; inna rzecz zupełnie zajęła uwagę ajenta. W chwili gdy Rigolo starał się pociągnąć Brzuchacza ku dwom towarzyszom czekającym na niego, furtka w ogrodzie Senneterre otworzyła się nagle i przy blasku księżyca ukazała się sylwetka smukłego mężczyzny. Ajent na ten widok drgnął i krzyknął zdziwiony. Rigolo posiadał bystry wzrok a widok człowieka, który wychodził z wili Senneterre uderzył go mocno dla dwóch powodów. Nie był to Jerzy Béraldi, na którego czekał, a po drugie sylwetka tego człowieka posiadała coś w ruchach i w rysunku, co obudzało jego podejrzenia i naprowadzało na rozmaite domysły. To też zaledwie zwrócił uwagę na ucieczkę Brzuchacza, całą jego ciekawość pochłonął młody człowiek, wychodzący z parku. Pchnięty niewytłómaczonem uczuciem, posunął się za nim ostrożnie w ul. Gabryela. Księżyc w tej chwili świecił jasno i Rigolo mógł się dowoli oddać obserwacyi.

Młody człowiek był małego wzrostu i szedł krokiem zgrabnym i pewnym. W ustach trzymał papierosa i od czasu do czasu rzucał w powietrze kłąb gęstego dymu. Korpus miał zgrabny, włosy obfite, nogi nadzwyczaj ładnie zarysowane, o stopach arystokratycznych, prawie kobiecych. Szedł swobodnie, nie domyślając się, że jest śledzonym aż do rogu pl. Zgody. W tem miejscu stała kareta. Obok stangreta siedziała jakaś ogromna osobistość, owinięta po oczy czarnym płaszczem. Zapewne był to służący. Rigolo nie zwracał szczególnej uwagi ani na jednego, ani na drugiego. Młody człowiek zbliżył się do powozu i stanął na chwilę oświetlony ze wszystkich stron jasnymi promieniami księżyca. Rigolo zadrżał. Jeszcze nigdy nie widział twarzy wdzięczniejszej, oczu żywszych i tyle wdzięku w ułożeniu. Pozostał zdziwiony i zamyślony. Podejrzenia jego wzmogły się jeszcze. Bez zaprzeczenia leżała tu jakaś tajemnica, która intrygowała go nieznośnie. Ale jakże rozwiązać tę zagadkę, nie zwracając uwagi przeciwników? Późno było już, nigdzie żadnej dorożki. Rigolo nie mógł pogonić za powozem. Co robić? Rigolo był bardzo niezadowolony. Jednakże chwila była krytyczna; należało się pospieszyć. Nagle skoczył w bok i krzyknął przestraszony. Ktoś zbliżył się do niego tak cicho, że go nie zauważył. Obrócił się szybko. Stał przed nim człowiek z okropną pałką w ręce, w bluzie robotnika z ciemną czapeczką nasuniętą na oczy. Rigolo wyjął szybko rewolwer i już miał zmierzyć, gdy człowiek ten uśmiechnął się i położył palec na ustach.

— No, cóż ty chcesz robić? — rzekł żywo. — Cóż to, nie poznajesz swoich przyjaciół?

— Buvard! — zawołał Rigolo uradowany i zdziwiony.

— Ma się rozumieć! Ale ciszej mój przyjacielu, o parę kroków jest ktoś, który mi się wydaje bardzo sprytnym,

— Ten młody człowiek? — szepnął Rigolo.

— Lub młoda kobieta — rzekł Buvard.

Rigolo zrobił zdziwioną minę.

— Oh, to i pan to również zauważył — zawołał — czy pan wie, że wychodzi z willi Senneterre?

— Naturalnie.

— Oh! to rzecz, która nie mało daje do myślenia. Młoda kobieta, o tej godzinie, przebrana w męskie suknie... gdzie ona może iść?

— Dowiemy się wkrótce.

Rigolo rzucił swemu przełożonemu pytające spojrzenie.

— O! lokaj zamyka drzwiczki powozu i wsiada już na kozioł; odjadą za chwilę i znikną nam. Jakże ich dogonimy?

— To moja rzecz — odpowiedział Buvard — Chodźmy w tę stronę... zostawiłem tam swój powóz a mój stangret czuły jest bardzo na napiwek. Zdajmy się na niego.

Rigolo nie uczynił już żadnej uwagi. W chwilę później wsiadali obaj do dorożki, która czekała na Buvarda i dwa silne konie, przynaglane przez stangreta, uniosły ich szybko.

ROZDZIAŁ III.

Pogoń.

Powóz toczył się już od kilku minut, gdy Buvard spuścił szybę przednią i wychylił głowę do dorożkarza.

— Czy nie straciłeś z oczu tamtej karety? — zapytał.

— Oh, nie, doskonale ją widzę, obywatelu — odpowiedział zapytany.

— I tam na koźle nie zdają się spostrzegać, że ich gonimy?

— Do tej chwili nikt się nie odwrócił... Ale bądź pan spokojny, jakby co było, to zaraz pana ostrzegę.

Buvard usiadł z powrotem obok Rigola.

— Sądzę, że nie dla pilnowania mnie zjawiłeś się pan dziś tutaj — rzekł ajent.

Buvard potrząsnął głową.

— Nie myśl tak źle o mnie, mój drogi — odpowiedział dobrodusznie.— Przywilejem dusz wzniosłych jest zupełna, bezbrzeżna ufność... to też wierzę w zdolności twoje. Wszystko idzie jak najlepiej i sprawą tą zdaje się będziesz się mógł pochlubić, choć będzie ona bardzo trudną do przeprowadzenia. Mamy do czynienia z nielada sprytnymi ptaszkami. Zapuszczamy się w ciemności po omacku, za śladem, na który dotąd nie trafiliśmy jeszcze. I dlatego też przyszedłem tutaj. Coś się teraz robi; podróż do Cabrol odniosła dobre skutki, trzeba nam się brać na ostro. Bardzo możliwem jest, że zbrodnia z ul. Monge wywodzi się z dzielnicy Sw. Honoryusza. Powiadają, że w willi Senneterre znajdują się dwie młode dziewczyny, nie znamy ani jednej, ani drugiej. Ta, którą ścigamy, wygląda bardzo podejrzanie. Nie ubiera się męskich surdutów i nie biega się nocą po Paryżu tylko po to, by starego Buvard'a w pole wyprowadzić. Musimy jaknajspieszniej to wyjaśnić. Ale cóż słychać z tym synem hr. Torella?

— Z Jerzym Beraldim? Co dzień go widuję....

— Co robi?

— Mebluje swoje apartamenty. Małą willę na Polach Elizejskich, nie daleko od willi Senneterre. Ma tam konie, powozy, fagasów w liberyi. W niedługim czasie mieć będzie i kochankę.

— Czy tobie polecił wyszukanie jej?

— Ej, co znowu! Zresztą ta sprawa nie dałaby się gładko załatwić. Jerzy Beraldi jest zakochany. Nie zwierzył mi się coprawda z tem, ale sam zgadłem. Jest to młoda dziewczyna dwudziesto-dwu letnia, milutka bardzo, a od sześciu miesięcy należy do składu trupy teatru Renaissance...

— Dobrze, mój drogi, trzeba o wszystkiem wiedzieć, pomyślimy jeszcze o tem; na razie nic nie nagli.

Buvard umilkł. Dorożka zatrzymała się nagle, a stangret pochylony ku szybie, czynił jakieś znaki ajentowi.

— Co się tam stało? — zapytał Buvard.

— Zdaje mi się, że przybyliśmy do właściwego miejsca — odparł dorożkarz.

— Gdzież się znajdujemy?

— Na placu Bourbon.

— Dobrze; ruszaj z miejsca i przejedź wolno koło domu, przed którym zatrzymała się ta kareta.

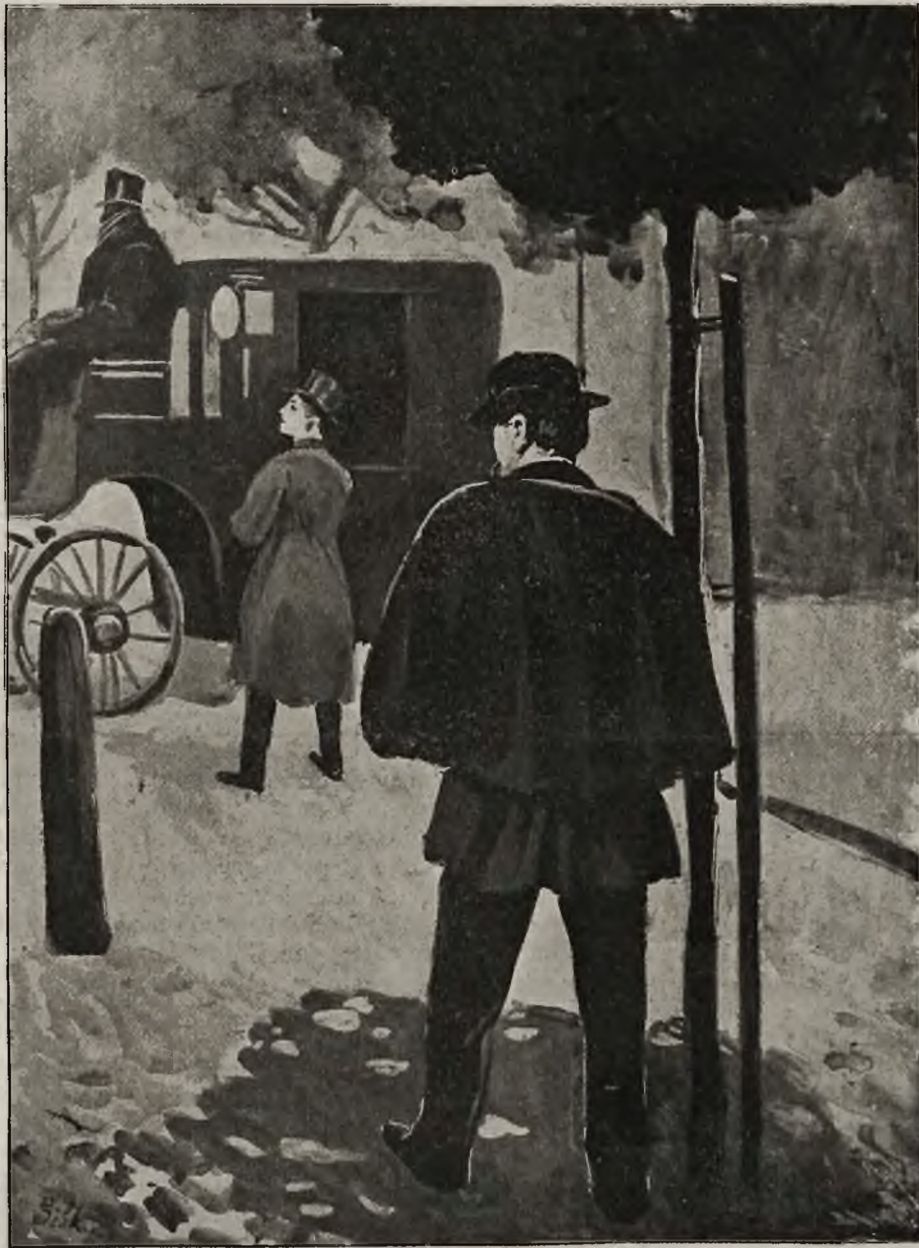
Dorożkarz usłuchał, a Rigolo wychylił się nieznacznie przez otwarte okno karetki.

— Co tam? — spytał Buvard.
— Numer 36 - odpowiedział Rigolo.
— A młoda kobieta?
— Znikła.
— A więc dojedźmy do rogu ulicy, powrócimy piechotą obserwować ich bliżej.
Ale Rigolo skoczył nagle jak piorunem rażony i uchwycił gorączkowo płaszcz dorożkarza.
— Nie! nie! stój! stój! — krzyczał głośno.
— A tam co? Cóż cię napadło? — spytał zdziwiony Buvard.
— Nie! to nie do uwierzenia!
— Cóż takiego?
— Stój! stój! słyszysz?
I nie czekając otworzył drzwiczki powozu i wyskoczył na chodnik. Buvard pospieszył za nim, ściskając mu konwulsyjnie ramię. Stanął o kilka kroków od ściganej karetki, z szyją wyciągniętą, z oczami błyszczącemi i patrzał jak zahypnotyzowany w człowieka, siedzącego na koźle obok stangreta. Stangret nagle zebrał lejce, widocznie zaniepokojony tą uporczywą obserwacyą lub też idąc za rozkazem swojego towarzysza, zaciął silnie konie i znikł w kierunku Notre-Dame. Rigolo pozostał na chodniku niezdecydowany, zmieszany, prawie przerażony.
— To dziwne, niewytłómaczone, fantastyczne — szepnął w końcu, przyciskając dłonią czoło rozpalone.
— Ale co? Oszalałeś widocznie, albo nie chcesz wcale odpowiadać swoim przełożonym!
Rigolo skinął głową.
— Ah! ah! — zaśmiał się nagle ironicznie — szukałeś pan przed chwilą śladu, nieprawdaż? Otóż ten ślad jest znakomity, wierzaj mi pan! Czy nie widział pan człowieka, który siedział na koźle tej karety?
— Widziałem go i wydał się mi bardzo brzydki...
— To mało, powiedz pan, że jest obrzydliwy, ułomny. Ale ja go widziałem kilka dni temu. I wie pan, gdzie go spotkałem? W jednej garkuchni na ul. Monge. Słyszysz pan! na ul. Monge, naprzeciw domu Rebarda!
Zaległo długie milczenie. Wielkie radości są ciche. Buvard brwi zmarszczył, a ręka jego ściskała ze wzruszeniem dłoń towarzysza. Rigolo zadrżał z radości na tę oznakę przyjaźni przełożonego.
— Cudownie! przedziwnie! — wykrzyknął Buvard po kilku chwilach wymownego milczenia. — Ale czy pewnym jesteś tego, co mówisz? Sprawa się więc dobrze przedstawia, dotykamy czułej struny. Ah! ah! Czasem od głupstwa nic nie znaczącego, zależy wszystko. Gratka, która nam w ręce wpadła, jest zanadto ponętną, by ją z ręki wypuścić. Nasza nieznajoma tu weszła, trzeba ją wypłoszyć koniecznie. Rigolo, mój przyjacielu, chodź za mną.
W milczeniu przebyli ciemną i długą aleję, w której znikła młoda kobieta, szukając schodów, które musiały prowadzić na wyższe piętra. Ciemno było zupełnie i nie wiadomo było, gdzie się skierować.
Rigolo zaświecił zapałkę, ale światło nie na wiele się przydało. Długa aleja prowadziła do rozległego dziedzińca, ale nigdzie nie było widać schodów. Weszli w dziedziniec, ale i tu nic nie zaspokoiło ich ciekawości. Okiennice domu były szczelnie zamknięte. Najprawdopodobniej nikt tu nie mieszkał. Rigolo czuł się bardzo niezadowolonym.
— Do dyabła! Czy to zaczarowany pałac? — szepnął zaniepokojony.
Buvard gestem nakazał mu milczenie.
— Co tam jest? — zapytał Rigolo.
W tej samej chwili rozległ się za murem, który okalał dziedziniec, odgłos odjeżdżającego powozu.
— A! do stu dyabłów — zawołał Buvard — daliśmy się złapać!
— Ładna rzecz — potwierdził Rigolo.
— Dom ten ma widocznie dwa wyjścia.
— I nasza młoda nieznajoma czmychnie nam z przed nosa.
Ajenci pobiegli czemprędzej do bramy, która wychodziła na ulicę Saint Louis i dobiegli tam w chwili, gdy powóz znikał na zakręcie ulicy. Rigolo rzucił za nim siarczyste zaklęcie.

ROZDZIAŁ IV.

Tajemniczy młodzieniec.

— Ulżyło ci? — zapytał Buvard z uśmiechem. — Ha! trudno, mój drogi! Jednak to daje wiele do myślenia. Ta dziewczyna to zuch, który nie tak łatwo da się podejść.
— O! dostanę ją w swoje ręce! — zawołał Rigolo, zaciskając pięści.
— Życzę ci powodzenia, — przyświadczył ajent. Jak na teraz jednak, musimy coś postanowić, przecież stać tu do rana nie będziemy.
— Co pan myśli uczynić?
— Myślę, że teraz wrócimy do domu, odprowadzisz mnie do siebie i sam pójdziesz spać, a jutro rano przyjdziesz jak najwcześniej po mnie.


Jeszcze nigdy nie widział twarzy wdzięczniejszej, oczu żywszych i tyle wdzięku w ułożeniu.

Rigolo nic na to nie odpowiedział. Buvard powrócił do karety, która czekała na nich, rzucił adres dorożkarzowi i konie pomknęły szybko w stronę ul. Femme-sans-Fête. W parę minut dorożka zatrzymała się przed domem, gdzie mieszkał Buvard. Rigolo wyskoczył zręcznie i nagle z piersi jego wybiegł okrzyk zdziwienia.
— Cóż tam znowu? — spytał Buvard.
Rigolo jak przykuty stał na miejscu.
— Ale patrz-że pan! - wykrztusił po chwili. — Powóz jakiś stoi przed pańskim domem. I to ten sam powóz, który ścigaliśmy.
Buvard wyskoczył na chodnik. To, o czem mu mówił Rigolo, było tak nieprawdopodobnem, że chciał się sam prędko przekonać. Spojrzał i cofnął się zdumiony. Rigolo mówił prawdę. Kareta stała przed bramą domu, ta sama, która im znikła z oczu przed chwilą.
— Oh! oh! — szepnął Buvard — najwidoczniej znajdujemy się w zaczarowanym świecie... Rigolo! baczność! Idź za mną i ust nie otwieraj! Dalej!
Ajent szedł pierwszy; kluczem, który miał w kieszeni, otworzył bramę, przechodząc koło loży portyera, rzucił swoje nazwisko i skierował się na II. piętro. Zaledwie dotknął dzwonka, gdy w drzwiach ukazała się stara służąca.
— Nareszcie pan przyszedł, panie Buvard — zawołała żywo — czekałam na pana z wielką niecierpliwością i już zaczęłam się obawiać, czy pan dziś powróci.
— Dobrze, dobrze — odpowiedział ajent. — Mówiłem ci tyle razy, żebyś na mnie nigdy nie czekała. Ale jesteś niepoprawna i nie śpisz całe noce, gdy mnie niema w domu.
Stara uśmiechnęła się z pokorą.
— To prawda — odpowiedziała — ale pan jest tak dobry dla mnie! Zresztą dziś nie miałam zamiaru czekać na pana. Przed chwilą spałam w kuchni w najlepsze, gdy ktoś zadzwonił. Coprawda, trochę się przestraszyłam! Kto mógł dzwonić o tej godzinie do nas? Pan ma klucz i wchodzi bez hałasu. Wstałam i otworzyłam z największą ostrożnością.
— I któż to był?
— Jakiś młodziutki pan.
— I wpuściłaś go?
— O, tak. Pragnął się z panem widzieć, a taki łagodny, grzeczny, że nie miałam serca odprawić go z niczem. Czeka w gabinecie pana.
Buvard zamienił ze swoim towarzyszem porozumiewające spojrzenie i skierował się do swojego pokoju. Ajent musiał przywołać na pomoc całą swoją zimną krew i umiejętność panowania nad sobą w każdej okoliczności, by nie krzyknąć ze zdumienia. Przy biurku w świetle przyćmionej lampy zobaczył siedzącego spokojnie młodego człowieka z ul. Gabryela. Buvard stał odurzony. Przez cały długi przebieg swojej policyjnej karyery nie spotkał się z podobną zuchwałością. Na widok ajenta młody człowiek wstał i skłonił się swobodnie z uśmiechem na ustach.
— Najmocniej pana przepraszam, że przychodzę niepokoić go o tej godzinie — rzekł grzecznie — lecz pragnę bardzo pomówić z panem i nie mogłem się oprzeć nadarzającej się sposobności.
— Czy naprawdę ze mną pan chce mówić? — spytał, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie ze zdziwienia.
— Tak jest — odpowiedział młody człowiek.
— A więc panu wiadomo, kto jestem, to jest chciałem powiedzieć, jakiem jest moje zajęcie?
— Amadeusz Buvard, ajent policyjny, jeden z najzdolniejszych ludzi w urzędzie.
Buvard przygryzł wargi. Zdawał się dostrzegać w swobodnych odpowiedziach swego gościa pewny odcień ironii. Uczuł się żywo dotkniętym.
— To doskonale — odpowiedział. — Lubię znajomości, które się w podobny sposób zapowiadają. A więc pan mnie zna, trzeba zatem, żeby pan wiedział, że i ja również znam pana.
— Nie potrzebuję więc się przedstawiać — ciągnął młody człowiek z czarującym uśmiechem. — Chcę, żebyś pan był silnie przekonany o mojej szczerości i zaraz na wstępie powiem panu, że nie byłeś dobrze natchnionym tej nocy.
— Nie rozumiem.
— Ścigając mój pojazd, zmusił mnie pan do zmiany planu; straciłem niepotrzebnie część nocy i tym sposobem popsuł pan moją sprawę, nie naprawiając swojej.
— Jednakże...
— Czy chce pan zagrać ze mną w otwarte karty, panie Buvard?
— O i owszem! niczego więcej nie pragnę.
— Obserwuję pana od dni kilku i gdybym sam nie był silnie zajęty sprawą, która pana tak interesuje, mógłbym się dobrze ubawić widokiem pana, zaciekawionego, szukającego w ciemności po omacku. Lecz rozrywka ta byłaby dobrą dla kogoś obojętnego, nie dla. mnie, który w tajemnicę tę włożył wszystkie swoje myśli, krew, życie całe.
Głos mówiącego był poważny, łagodny, kobiecy, ręka i noga mogła należeć do dziecka, lecz oczy o ostrem, błyszczącem spojrzeniu, usta skrzywione nerwowo i ruchy, wyrażały męską energię i pewność siebie. Buvard uczuł nagłe zainteresowanie. (C. d. n.)

Morderstwo z chciwości.

W kronice kryminalistycznej rok bieżący będzie zapisany istotnie krwawemi zgłoskami. Nie przebrzmi jeszcze echo jednego morderstwa, a już rozchodzą się wieści o nowem, jeszcze okrutniejszem. Morderstwo Haua w Baden-Baden, Soleillanda w Paryżu, rozpruwanie małych dziewcząt w Berlinie — następowały jedno po drugiem, łączyły się w jeden łańcuch zbrodni i jakby krwawą nicią chciały opasać ziemię całą. Zdawać może się, iż po raz drugi otwarto puszkę Pandory, z której na ziemię sypią się najstraszniejsze wypadki, najpotworniejsze mordy. Ostatnie w tym potwornym łańcuchu zbrodni ogniwo dodali małżonkowie Goldowie w Monte Carlo.

Zdawaćby się mogło, iż w tym najpiękniejszym zakątku świata, przeznaczonym jakby dla miłości tylko i szczęścia, samo



Na Kalwaryi: Żebracy na Kalwaryi.



Na Kalwaryi: Typy żebraków na Kalwaryi.

dobro winno zamieszkiwać; niestety i szatan musiał się tam wśliznąć, skoro tak potworna zbrodnia spełnioną została.

Od pewnego czasu mieszkała w Monte Carlo wdowa po bogatym przemysłowcu szwedzkim, Em-



Morderstwo z chciwości: Morderczyni Emmy Lewin Violetta Goldowa.

ma Lewin, znana powszechnie na „jasnym brzegu" z urody i pięknych brylantów, które też pośrednio stały się przyczyną jej śmierci. Bardzo kosztowne klejnoty, jakie z upodobaniem nosiła, świadczyły o jej zamożności, nic więc dziwnego, że o znajomość z piękną wdową starało się wielu ludzi. Między nimi byli i małżonkowie Goldowie, którzy z



Morderstwo z chciwości: Zamordowana Emma Levin z córeczką.

początku nie zdradzali w niczem swych zbrodniczych zamiarów. Ubodzy, bez żadnego majątku, żyli tylko kredytem, podtrzymywanym bardzo zręcznie przez panią Violettę Gold, osobę 56 letnią; czerpali też i z kasy łatwowiernej wdowy, której



Morderstwo z chciwości: Morderca Emmy Lewin, Gold.

okazywali wiele serdeczności, zapraszając ją często do swego mieszkania; na uczczenie swej przyszłej ofiary urządzali nawet przyjęcia kosztowne, których koszt pokrywali z zaciąganych pożyczek. Gdy jednak kredyt zupełnie już się wyczerpał, uznali małżonkowie za konieczne wstąpić na bardziej skuteczną drogę celem zdobycia pieniędzy.

Łupem ich miały być kosztowności i większa

suma pieniędzy, jaką p. Lewin zwykle przy sobie nosiła. Pewnego tedy dnia zaprosili p. Lewin do swego pomieszkania i tam rzucili się na nią, ogłuszyli jakiemś tępem narzędziem, bijąc po głowie, następnie zaś przebili serce sztyletem. By pozbyć się trupa, odcięli ręczną piłką nogi swej ofiary i głowę, poczem zapakowali tak poćwiartowane ciało do kufra i wysłali do Nicei, sądząc, iż w ten sposób zatrą wszelkie ślady swej zbrodni. Niestety, z kufra na dworcu poczęła płynąć krew; rozbito go natychmiast i tu widzom przedstawił się straszny widok zniekształconego ciała kobiecego. Energicznie przeprowadzone śledztwo odrazu zaprowadziło władze do domu Goldów, którzy z początku wypierali się zbrodni, utrzymując, iż p. Lewin zamordował jej kochanek. Wkrótce jednak okazało się twierdzenie to kłamstwem i oboje Goldów aresztowano. Jerzy Gold, liczący obecnie 54 lat, przyznał się do tego przestępstwa. Jest to alkoholik, znajdujący się zupełnie pod władzą swej żony, która wywiera na niego silny wpływ. cała też wina i pomysł tej zbrodni, jest dziełem tylko tej strasznej kobiety.



Ponieważ poprzednia kronika zakończyła się wyrażeniem kondolencyi dla Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, z powodu takiego przepełnienia kas rządowych, że są w niemałym kłopocie co czynić z pieniądzmi — przeto dziś z kolei wyrażam gratulacyę kochanej naszej starej Europie, że nie potrzebuje się obawiać, aby się znalazła kiedykolwiek w tak kłopotliwem, jak ta smarkata Ameryka położeniu. Gratulacye te zawdzięcza nasza mądra, poważna, stara, a więc doświadczona Europa—konferencyi w Haadze. Jak wiadomo rząd angielski zebranym na konferencyi dyplomatom przedłożył wniosek ograniczenia uzbrojeń, motywując go tem, że wzrost długów państw europejskich przybiera zastraszające rozmiary. Ten motyw rządu angielskiego uzasadnił świeżo znany ekonomista francuski Ney-Marek (nawiasem mówiąc, założyłbym się, że jego ojciec w Warszawie Neumark się nazywał), który obliczywszy skrupulatnie, ile każde państwo europejskie zaciągnęło dłużków u swoich i obcych obywateli, doszedł do bardzo ładnej cyfry, która się pisze: 148,000,000.000, a wymawia się: sto czterdzieści ośm miliardów, to znaczy sto czterdzieści ośm tysięcy.... milionów. Czy rozumiesz to człeku lwowski, krakowski lub warszawski?... Gdyby każdy z was np., przezacni Krakowiacy, od najstarszego do wczoraj urodzonego przyszłego wyborcy dostali po 10.000 koron (to jest sumę, do której na 101.000 mieszkańców Krakowa wzdycha 100.000, uważając ją za szczyt marzeń) to dopiero wszyscy razem mielibyście jeden miliardzik, czyli 148-mą część owego długu. Ponieważ wybór jednego posła kosztuje koło 10.000 koron, przeto za ową sumę długów państw europejskich możnaby wybrać czternaście milionów ośmiuset posłów. Ponieważ panien nieposażnych ze sfer „inteligencyi“, i „burżuazyi“ liczy Europa około miliona, przeto gdyby długi państwowe zamieniono na posagi, każda z nich wniosłaby oblubieńcowi 148,000 franków. Ponieważ flaszka dobrej wódki lub średniego wina kosztuje przeciętnie $1^1/_2$ franka, a mężczyzn będących wrogami Eleuteryi krakowskiej liczy Europa około 40 milionów, przeto gdyby za sumę długów państwowych chciano im dać lepszą sposobność do wyrażenia czynem swych przekonań, na każdego z nich przypadłoby około 2500 flaszek jednego z tych boskich napojów. Wreszcie, aby nie mnożyć przykładów, dość powiedzieć, że za sumę w mowie będącą, co trzeci dorosły Europejczyk mógłby jeździć we własnym automobilu.

Samo oprocentowanie tej kolosalnej kwoty wynosi rocznie 6 miliardów. A długi wciąż rosną, a coraz trudniej o nowe źródła dochodów. Ba! gdyby każdy z rządów wielkich państw posiadał nawet 100 takich śpiewaków jak Caruso i wysyłał ich na zarobek do Ameryki, to jeszcze byłoby daleko do zebrania sumy potrzebnej do opłacenia procentów. Taki Caruso bowiem bierze „zaledwie“ 1.000.000 lirów za sezon w Ameryce, a więc 500 Carusów zarobiłoby wszystkiego 800 milionów, a tu potrzeba 6 miliardów!

Tymczasem ukazują się wciąż nowe potrzeby! Taka np. wycieczka Francuzów do Marokka dla uspokojenia mieszkańców Casablanki kosztować będzie 200 milionów franków. Prawda, że telegramy nam doniosły, iż „w Casablanca jest całkiem spokojnie“, ale jak niema być całkiem spokojnie, jeżeli inne telegramy wyjaśniają, że wszystkie domy są zburzone a 1500 niepochowanych trupów leży na ulicach miasta. Kto więc ma zakłócać spokój? czy te trupy? Wogóle Francuzi okazali się bardzo energiczni. Za kilkunastu zamordowanych Europejczyków zburzyli całe miasto i wymordowali połowę jego mieszkańców. Nauka z Berlina w las nie poszła. Nie tak to dawno, bo podczas wojny z Chinami, rzucono takie hasło postępowania w duchu Hunnów, niszczenia ogniem i mieczem wszystkiego, co stanie na przeszkodzie, nieprzebaczania kobietom i dzieciom. Francuzi to pojętni uczniowie. Otrzymawszy przed 36 laty chłostę od nauczycieli, siedzą spokojnie i grzecznie, zapomnieli „revanche“, służą na łapkach przed potężną Germanią. Ale za to w słabem Marokku dokazują cudów bohaterstwa.

Co mówili ze sobą w Wilhelmshöhe król Edward ze współczesnym Ramzesem II., nie mogę donieść czytelnikom, bo tyle wiem co dzienniki, a dzienniki nic nie wiedzą. Skąd mi przyszło jednak nazywać gospodarza Wilhemshöhe Ramzesem II.? Oto dlatego, że widzę niejakie podobieństwo między temi dwoma postaciami. Ramzes II., władca Egiptu przed 3000 lat, uchodził dotychczas za „wielkiego Faraona“, twórcę dzieł wiekopomnych. Był to tymczasem, jak dowodzi angielski egiptolog, profesor Neuville, tylko wielki blagier, którego usiłowaniem było jedynie zapewnić sobie nieśmiertelność za jakąkolwiekbądź cenę. Próżność jego nie miała granic. Otaczał się pochlebcami, płacił „wieszczom“, aby sławili jego imię. Na każdym obelisku, na każdym posągu i pomniku, na każdej świątyni kazał wykuwać swoje imię — więc uczeni spotkawszy tyle dowodów kulturalnej działalności Ramzesa, sami wierzyli i innym do wierzenia podawali, że był to wielki monarcha. Tymczasem kochany Ramzesik ze wszystkich tych pomników i budowli, przez kogo innego stawianych i komu innemu poświęconych, kazał usuwać właściwe nazwiska, a swoje na ich miejsce pakować. Stąd jego wielkość i sława. Pomijając tę śmieszność, miał Ramzes jeszcze inne takie zalety, że Neuville nie waha się nazwać go „próżniakiem i nicponiem“.

Bo tę śmieszność wreszcie darowaćby mu można. Czyż to nie widzimy naokół, jak ludzie lubią się przyozdabiać w pawie piórka, jak chcą uchodzić za coś większego, niż są w istocie. Obecnie np. bohaterami tej śmiesznostki stali się posłowie socyalistyczni w parlamencie austryackim. Okazało się że na 90 reprezentantów klasy robotniczej jest tylko... 2 robotników. Żaden prawie z tych panów w urzędowym spisie nie chciał przyznać się do właściwego zawodu, ale korzystał z jakiegoś przygodnego zajęcia lub stanowiska, aby zrzucić z siebie miano robotnika. Trudno zresztą w dzisiejszym systemie asocyacyi społecznej, aby nie posiadać jakiejś... godności. Ale lekarz, choćby został niewiadomo jakim prezydentem, dyrektorem i t. d., zawsze jest lekarzem. Jeżeli spytamy się sędziego kim jest, to choćby był prezesem stu towarzystw, zawsze odpowie: jestem sędzią. Tymczasem posłowie socyalistyczni pozapisywali się przeważnie jako urzędnicy prywatni (kasy chorych, zawodowych stowarzyszeń) i redaktorzy. Więc też pomimo, że są to w większej części robotnicy, stronnictwo socyalistyczne składa się z 41 urzędników prywatnych, 31 redaktorów, 4 adwokatów, 1 lekarza, 2 nauczycieli i 2 robotników.

Słusznie drwią sobie z tego przeciwnicy socyalistów. Ale sprawiedliwość przedewszystkiem. Mam przed sobą książeczkę p. t. „Das österreichische Abgeordnetenhaus“, w której są portrety i życiorysy wszystkich tych panów, którzy od r. 1907 po 1913 będą brać po 20 koron dziennie, jeżeli ich wcześniej rząd nie poprosi o stały powrót do larów i penatów domowych. W książeczce tej co strona prawie próżność ludzka na jaw wychodzi. Każdy z posłów sam dostarczał o sobie szczegółów; żądano od niego, aby podał swoje nazwisko, zajęcie, datę urodzenia, miejsce zamieszkania wyznanie, zajęcie ojca, stopień wykształcenia i t. d. Otóż np. pomiędzy posłami galicyjskimi, wybranymi z pośród ludu, jeden tylko poseł Paduch podał, że jest chłopem (Bauer) i synem chłopa. Inni dla tego „chłopstwa“ znajdowali rozliczne określenia. A więc mamy samych „Landwirtów“, „Grundbesitzerów“, „Wirthschaftsbesitzerów“, „Realitätenbesitzerów“, „Landmanów“ — byle tylko nie chłopów. Za to jest dwóch „Grossbauerów“. Oprócz Paducha 2-ch tylko synów chłopskich znajduje się wśród delegacyi galicyjskiej, a mianowicie księża Szponder i Hanusiak (cześć im. że ojców się nie wstydzili). Kilku posłów całkiem się nie przyznało do posiadania ojców. Inni podali, że ich ojciec był „Hausbesitzer“ (też zajęcie!). W dziale wykształcenia też są... błagi. Podaję tylko jedną: oto pewien nasz dygnitarz, o którym wiadomo, że nie wąchał żadnej szkoły, podaje o sobie: „Stud. in Deutschland und Frankreich“. Inni podali taką moc swoich tytułów, że te się ledwie zmieściły na przeznaczonej kartce, a ci srodze utytułowani, to z małym wyjątkiem, największe miernoty. Bo też i jakie to tytuły! Oto: wiceprezes stowarzyszenia dla ruchu obcych, wiceprezes „Sokoła“ w B., członek komitetu parafialnego w Z., członek rady szkolnej okręgowej, prezes kasy Raiffeisenowskiej, cenzor filii Laenderbanku, członek towarzystwa ogrodniczego i t. d. Głowa pewnego stronnictwa uznała się redaktorem, choć pan ten nie był nigdy dziennikarzem ani literatem, a o tyle jest redaktorem, że wydaje tygodniczek, w którym pisze głównie o sobie. Inny nasz delegat to Bürgermeister! Ależ, dosyć panie burmistrzu, tym burmistrzem jesteś dziś, ale nie byłeś wczoraj, a jutro cię zrzucą (albo może już zrzucili) — więc musisz być zapewne szewcem, kupcem, stolarzem, kowalem, boć burmistrzostwo to nie zawód. Czego się wstydzisz? A ty znowu, panie adwokacie, pośle lwowski, czemu dodajesz, żeś jest Hauseigentümer? — czy to także zawód? Przepraszam i pana, panie radco sądowy, ale jeżeliś naprawdę demokratą, to nie piszże się Vincenz Thaddäus Marian Ritter von Jasieńczyk *de* Jabłoński — boć to śmieszne od początku do końca, a owo *de* to już jest nonsensem nad wszelkie nonsensy.

Dość tego. Chciałem tylko pokazać czarno na białem, jak śmiesznostka próżności obejmuje wszystkie stany, jak rzadko kto nie chce uchodzić za coś lepszego od innych, a przynajmniej stara się dowieść światu, że jest z „lepszej gliny“. Dobrze tu powiedziano:

Oj panowie demokraci,
Nie drwijcie sobie ze świata —
Im kto równość więcej głosi,
Tem... większy arystokrata.



Kącik humorystyczny.

W górach.

Turysta. Ależ ten osioł jest bardzo mądry!
Góral. To też proszę pani, na nim jeden profesor jeździł przez trzy tygodnie.

* * *

Usprawiedliwienie.

Matka. Wstydź się, żeby taki duży chłopiec tak nieortograficznie pisał! W ostatnim twoim liście znalazłam cztery błędy.

Syn. To nie moja wina, proszę mamy. Taka była wtedy burza, że nic nie mogłem zrozumieć, co piszę.

* * *

Coraz grzeczniejszy.

— Jakto, hultaju, mówiłeś mi, że pan nauczyciel jest coraz więcej z ciebie zadowolony, a tymczasem dowiaduję się, że dziś właśnie dostałeś od niego w skórę!

— Tak, ale bił mnie już o wiele słabiej, niż wczoraj.

* * *

Dorożkarki w Paryżu.

— Dorożkarka! Wolna?...
— Tak, panie, wdowa.

* * *

Gniew na kredyt.

— Nie mogę już wytrzymać z moją żoną! Codzień przychodzi mnie dręczyć o pieniądze.
— Cóż ona z niemi robi?
— Robić nic z niemi nie może, bo jej nigdy grosza nie daję.



Wyścigi pod Przemyślem.

Wyścigi konne, które w świecie „cywilnym“ tracą coraz bardziej racyę bytu, zasługują na poparcie i na jak największe rozpowszechnienie wśród szeregów wojskowych. Dają one bowiem doskonałą sposobność do przekonania się o wytrzymałości i szybkości koni, oraz sprawności i zręczności jeźdźców.

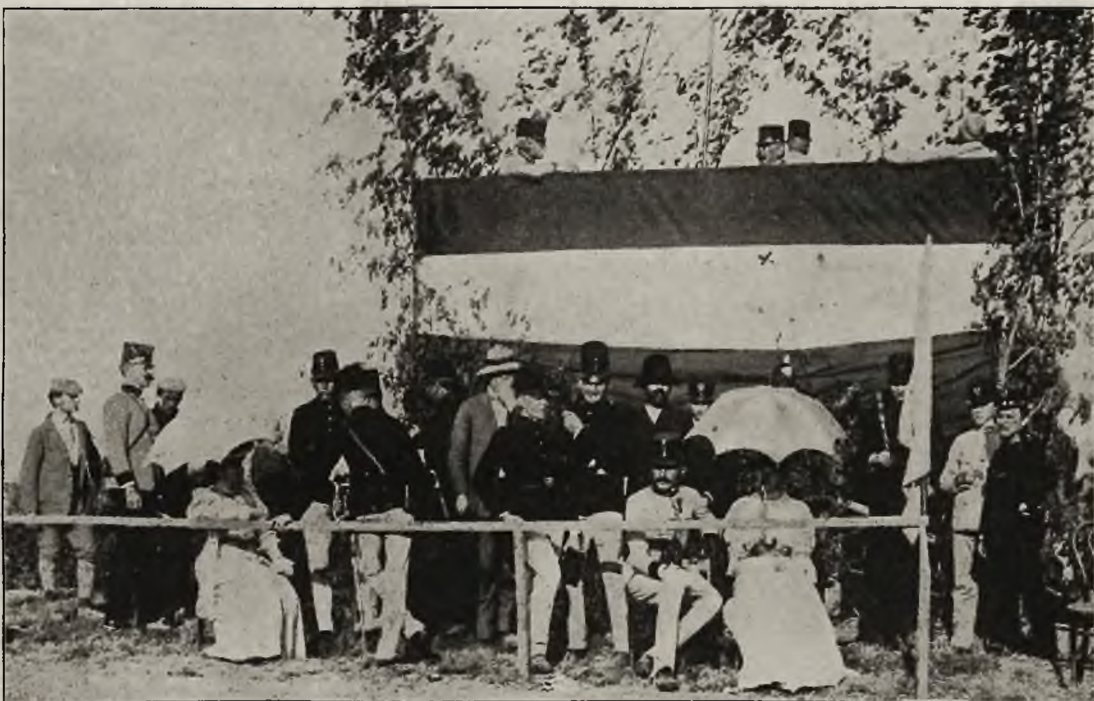
W ostatnich paru latach zauważyć też można było, iż w wyścigach na torach we Lwowie i w Krakowie przeważały konie oficerów, a również oficerowie brali bardzo żywy udział w biegach jako jeźdzcy. Ponadto zaś odbywają się w niektórych okolicach specyalne wojskowe wyścigi, w których popisują się i walczą o nagrody nietylko oficerowie, ale i podoficerowie oraz szeregowcy.

Ostatnie tego rodzaju wyścigi odbyły się w Żurawicy pod Przemyślem, staraniem i przy udziale 8 pułku dragonów. W dniu wyścigów, w sobotę 17 b. m. popołudniu, wyruszył z Przemyśla osobny pociąg do Żurawicy, wioząc na miejsce wyścigów poważne grono widzów z pomiędzy inteligencyi Przemyśla, oraz generalicyę z komenderującym X. korpusu na czele.

Przebieg wyścigów był bardzo zajmującym i spotkał się z ogólnem uznaniem. Biegów było ogółem pięć. W pierwszych trzech, przeznaczonych dla oficerów, zwycięstwo odnieśli nadporucznicy Jahoda (pierwszy i drugi bieg) i Hutter (trzeci bieg).

Następnie odbył się wyścig przeznaczony dla podoficerów. Nagrodę stanowił złoty zegarek i 50 koron w gotówce. Zdobył ją plutonowy Iżański.

W ostatnim biegu, przeznaczonym dla dragonów bez szarży, przybył pierwszy do mety dragon Malinowicz, zdobywając w nagrodę srebrny zegarek i 15 koron.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Wyścigi pod Przemyślem: Generalicya z komenderującym gen. Pino (X) w loży powyżej widzów.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Wyścigi pod Przemyślem: Grono widzów.

Zabawa, urządzona bardzo starannie, wypadła doskonale, a do rozweselenia widzów przyczyniała się nie mało kapela wojskowa 77 pp. z Przemyśla.

O zmierzchu, po godzinie 7, powrócili uczestnicy wyścigów i widzowie do miasta.

Koniec szalonego wyścigu.

Nakoniec wyścig, który uważano początkowo tylko za reklamę, jaką urządza dla siebie pomysłowy dziennik paryski „Matin“, przez swe szczęśliwe zakończenie nabrał pierwszorzędnego znaczenia. Okazało się, iż samochody nie tylko bardzo skutecznie mogą rywalizować z drogami żelaznemi, ale nawet bezwarunkowo przewyższają je. Tam gdzie niepodobnem jest ułożenie toru kolejowego, samochód bardzo dobrze daje sobie radę.

Wyścig ten nie był więc tylko popisem sportsmenów, ale niezwykłem wypróbowaniem tego nowego środka lokomocyi; po okazaniu sprawności i wytrzymałości samochodów, zastosowanie ich do najrozmaitszych celów będzie coraz bardziej wzrastało. Największą jednak korzyść odnieśli z tej podróży z Pekinu do Paryża fabrykanci samochodów i oni winni złożyć w darze ks. Borghese jeżeli nie złoty, to przynajmniej srebrny samochód.

Wyścig ten jest z pewnością najlepszym pomysłem przedsiębiorczego „Matin'a“. Redakcya jego



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Wyścigi pod Przemyślem: Zwycięscy w biegu dla podoficerów i dragonów: plutonowy Iżański i dragon Malinowicz.



Fot. M. Todt Przemyśl.

Wyścigi pod Przemyślem: Wyścig dragonów z porucznikiem na czele.

na cześć ks. Borghese sprawiła nadzwyczaj uroczyste przyjęcie w Paryżu.

Ks. Borghese, jak w granicach Azyi budził podziw swym stalowym rumakiem, tak w Europie znowu zbierał we wszystkich większych miastach swej Itali aż pod redakcyę „Matina“. Na widok zbliżającego się pochodu rozległy się dźwięki orkiestr i ogłuszające okrzyki wiwatowe, dobywające się z piersi wielu tysięcy widzów. Rozentuzyazmowany tłum na rękach chciał wnieść księcia do re-



Koniec szalonego wyścigu: Ks. Borghese, witany na ulicach Paryżu.

złote medale i owacye, które w Paryżu dosięgły kulminacyjnego punktu. Na kilkanaście kilometrów przed Paryżem, w Chambery, zatrzymał się na noc ks. Borghese, by po dniu dojechać do kresu wyścigu. Już na tym przystanku nastąpiły pierwsze uroczyste powitania. Książę naraz znalazł się otoczony przez liczne samochody, które rykiem swych syren śpiewały hymn powitalny.

Następnego dnia odbył się istotnie uroczysty wjazd do Paryża. W otoczeniu niezwykłej liczby samochodów i cyklistów, poprzedzany przez honorową eskortę gwardyi republikańskiej, wśród grzmiących fanfar trąb przesuwał się ks. Borghese na dakcyi, od czego jednak uchylił się skromny zwycięsca, szybko wyskakując z samochodu. Wieczorem nastąpił uroczysty festyn w Tuilleries. Z przed redakcyi „Matin'a“ wyruszył świetny korowód samochodów wspaniale iluminowanych. Wśród zapadającego wieczoru płomienna ta smuga toczyła się przez główne aleje, aż do ogromnej polany, gdzie wobec kilkutysięcznej zebranej publiczności odbył się karuzel samochodów, które potem rozgłośnemi dźwiękami trąb i syren obwieściły światu niezwykłe zwycięstwo ks. Borghese.

Z Paryża wyruszył książę do Medyolanu i Turynu, wszędzie nadzwyczajnie witany. W Medyolanie dziennikarze wydali wielką ucztę na cześć Barziniego, który z tej długiej podróży nadsyłał korespondencye. Luigi Barzini brał udział również w wojnie japońsko-rosyjskiej jako korespondent włoskich dzienników.

Zdjęcie fotograficzne przedstawia jeden z epizodów przyjęcia „Itali“ w Paryżu.

Pożegnanie operetki lwowskiej.

Po dwu miesiącach pobytu w Krakowie, które dla miłośników muzyki minęły „jak sen jaki złoty“, opuściła operowa trupa lwowska mury Krakowa i nucąc „Wesołą wdówkę“ odjechała w czwartek ubiegłego tygodnia z powrotem do Lwowa.

Zestawiając wyniki dwumiesięcznej kampanii opery i operetki lwowskiej, stwierdzić należy, iż wyniki te były pod każdym względem bardzo dobre. Teatr był przeważnie wysprzedany, albo conajmniej dobrze zapełniony, mimo iż w lipcu i sierpniu Kraków gruntownie opustoszał. Kasowe tedy rezultaty były doskonałe. Ale i poziom artystyczny przedstawień był bardzo wysoki. Soliści obojga płci okazali się śpiewakami doskonałymi, wysoce utalentowanymi i bardzo sumiennymi. Orkiestra pod batutą pp. Słomkowskiego, Rukawiny i Langera, dała nowe dowody, iż jest pierwszorzędną, zgraną ze sobą i że opinia jej, jako jednej z najlepszych, najzupełniej jest uzasadnioną. Chóry trzymały się w tym roku wcale dzielnie, mimo ciężkiej i męczącej pracy.

W repertuarze operowym największe powodzenie i największą liczbę przedstawień zdobyły „Opowieści Hoffmana“. Widocznie piękna muzyka Offenbacha ma zawsze i wszędzie ogromną siłę atrakcyjną. „Stara baśń“ Żeleńskiego, mimo swej piękności i pięknych zalet, nie zdobyła należnego powodzenia wśród „wyrobionej artystycznie“ publiczności krakowskiej. Z innych oper na pierwszem miejscu wymienić należy prześliczną „Cyganeryę“ Pucciniego, której wykonanie było bez zarzutu.

Clou repertuaru operetkowego stanowiła „Wesoła wdówka“. Mimo iż prawie wszyscy „urzędowi“ recenzenci krakowscy pięknej tej, melodyjnej operetce odmówili wszelkich zalet, publiczność krakowska rozkochała się poprostu w smętnych, rzewnych walczykach i piosenkach Lehara i na 22 przedstawieniach zapełniła teatr. Tej liczby przedstawień w przeciągu pięciu tygodni nie osiągnęła dotąd w Krakowie żadna sztuka.

Rozpoczęty 16-go czerwca Moniuszkowskim „Strasznym dworem“ sezon, zakończył się tą samą operą 15 sierpnia, poczem cała trupa jeszcze tej samej nocy wyjechała do Lwowa.

Szkoda, że sympatyczne wrażenie z pobytu lwowskiej drużyny w Krakowie, zamącone zostało w ostatnich dniach wskutek niesmacznych wybryków jednego z członków operetki. Gorsząće zajścia te spotkały się też z surowem, a zupełnie słusznem skarceniem kilku tutejszych dzienników.

Zdjęcie w dzisiejszym numerze pomieszczone, przedstawia całą trupę lwowską na kilka godzin przed wyjazdem.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Odjazd operetki lwowskiej: Soliści, orkiestra, chór i personal techniczny opery i operetki lwowskiej z sekretarzem p. Sachorowskim (X) w pośrodku.

Święto polskiego leśnictwa.

W prastare mury Krakowa zawitała drużyna polskich leśników na sejm swój, największy z dotychczasowych, bo jednoczący w gronie uczestników przedstawicieli leśnictwa wszystkich dzielnic

Rzeczypospolitej. Przybyli więc leśnicy galicyjscy — ci najliczniej i z całego kraju — dalej z Królestwa Polskiego, wreszcie z Poznańskiego.

Zjazd niniejszy miał charakter uroczysty, bo łączył się z jubileuszem dwudziestopięciolecia istnienia i działalności galicyjskiego tow. leśnego. Towarzystwo to dążyło nie tylko do pogłębienia teoretycznej wiedzy leśników za pośrednictwem organu swego „Sylwan“, a dalej za pośrednictwem wycieczek naukowych, zjazdów, oraz wygłaszanych na nich referatów, lecz usiłowało uzdrowić zaniedbaną od tylu lat gospodarkę leśną, domagając się nowego w tym kierunku ustawodawstwa.

To też dziwną i smutną zarazem jest rzeczą, iż tak pożyteczne towarzystwo zdołało skupić pod swoim sztandarem zaledwie około 600 członków, choć kraj nasz, pokryty jeszcze w znacznej części lasami, tylu liczy leśników. Może zjazd, który właśnie odbył się w Krakowie, ożywi ruch na tem polu, zwłaszcza że jego program zmierza do utrwalenia łączności między leśnikami całej Polski. Program ten dążył dalej do przyjęcia jednolitego rozwoju polskiej nauki leśnictwa oraz polskiej gospodarki lasowej, do rozpatrzenia wpływów, jakie na rozwój leśnictwa wywierają panujące w społeczeństwie prądy ekonomiczne, jako też do wyjaśnienia społecznej roli leśnictwa na ziemiach polskich. Radzono nadto nad ustaleniem polskiej terminologii leśniczej, nad założeniem wyższej szkoły lasowej w Warszawie i nad kilku przedmiotami z zakresu techniki gospodarstwa lasowego.

Pierwszy dzień zjazdu, w którym wzięło udział z góry trzysta osób, spędzono poza Krakowem, na wycieczce naukowej do rewiru myślachowickiego w hrabstwie Tęczyńskiem, własności namiestnika A. hr. Potockiego. Po zwiedzeniu interesujących kultów, produkowanych na bardzo nieurodzajnej, piaszczystej glebie, wrócono wieczór do Krakowa.

Następnego dnia, po nabożeństwie w kościele Panny Maryi, zebrali się uczestnicy zjazdu w pięknej sali tow. Wzajemnych ubezpieczeń, gdzie toczyły się obrady — w myśl programu — przez cały dzień z przerwą obiadową. Zgromadzenie zagaił zasłużony prezes gal. tow. leśnego, Jerzy hr. Dunin - Borkowski, poczem wybrano prezydyum, w skład którego weszli pp. Józef Rivoli z Ks. Poznańskiego, jako przewodniczący, a Józef Stankiewicz z Królestwa Polskiego i Jan Ligman z Galicyi, jako jego zastępcy. Na zjeździe obecni byli z pośród obywatelstwa Kazimierz hr. Szepetycki, Adam hr. Stadnicki, August hr. Krasicki, dalej poseł inż. Skołyszewski, radca C. Kochanowski, profesorowie Demianowski, Sokołowski, Lipiński i wielu innych, osiwiałych, sędziwych przedstawicieli leśnictwa polskiego. Sporo też było i pań które na zjazd ten z odległych nawet stron przybyły.

Po wyborze prezydyum przemawiali serdecznie, witając uczestników zjazdu, K. hr. Szepetycki i p. Miklaszewski z Królestwa Polskiego, poczem nastąpiły obrady.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Swięto polskiego leśnictwa: Członkowie prezydyum zjazdu i prezydyum gal. tow. leśnego: pp. Jan Ligman, wiceprezes zjazdu; Jerzy hr. Dunin-Borkowski, prezes tow. leśnego; Kazimierz hr. Szeptycki, wiceprezes tow. leśnego; Józef Rivoli, prezes zjazdu; Zygmunt Demianowski, członek wydziału tow. leśnego, sekretarz zjazdu; Józef Stankiewicz, wiceprezes zjazdu; radca Cyryl Kochanowski, wiceprezes tow. leśnego.

Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Swięto polskiego leśnictwa: Grupa uczestników zjazdu leśników polskich w gmachu tow. Wzajemnych ubezpieczeń.

Michał Salamon.

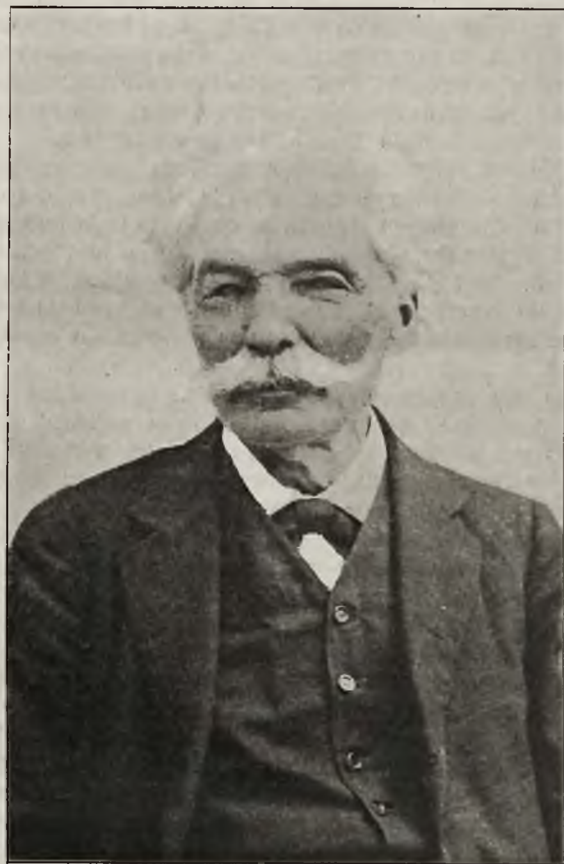
W czasie pobytu lwowskiej opery w Krakowie można było widzieć każdego dnia rano w kawiarni letniej Janikowskiego, a późnym wieczorem w handlu Hawełki sympatyczną, siwą postać bibliotekarza teatru lwowskiego, p. Michała Salamona. W dużej sali pod piecem siedział przy małym stoliku przez kilka godzin, wpatrzony w gwarny, wesoły tłum, przesuwający się przed jego oczyma, siedział prawie zawsze sam, otoczony tylko kłębami dymu z cygara, którego niemal nie wypuszczał z ust.

Życie tego człowieka, który w latach młodości marzył o innej karyerze, związane było przez blisko pół wieku jak najściślej z dziejami lwowskiego teatru. Urodzony w 1835 r. w Komarnikach pow. turczańskiego, ukończył z doskonałym wynikiem gimnazyum w Samborze, poczem przeniósł się do Lwowa na uniwersytet, gdzie oddał się początkowo studyom teologii. Po roku przeniósł się na wydział prawniczy uniwersytetu, a nie mając pomocy materyalnej z domu, pracował równocześnie jako dyetaryusz w wyższym sądzie krajowym. Brak środków na opłacenie wysokiego czesnego zmusił go wkońcu do porzucenia studyów uniwersyteckich. Wstąpił więc do teatru. Było to w 1864 roku. Obdarzony wybitnym słuchem muzykalnym i pięknym głosem basowym, został przyjęty w poczet członków męskiego chóru, gdzie przez przeszło 30 lat pracował z wielką gorliwością, stanowiąc podporę i jedną z najlepszych jego sił. Przed paru laty przeszedł na emeryturę, jako członek chóru, obejmując następnie obowiązki bibliotekarza muzykaliów. Jest więc obecnie p. Salamon zawiadowcą wszystkich nut operowych i operetkowych, wszystkich ról, partytur i t. d. Obowiązki swe spełnia z ogromną punktualnością i widocznem przywiązaniem do tej całej „bibuły“.

W licznem bardzo gronie członków teatru lwowskiego należy do najstarszych, a ze względu na swe zalety umysłu i serca, ze względu na niezwykłą dobroć i otwartość charakteru i do najbardziej lubianych i cenionych. P. Salamon nigdy nie miał i niema wrogów, gdyż nikomu nie potrafiłby nic złego zrobić. Ma natomiast bardzo wielu przyjaciół. A nie tylko we Lwowie, lecz i w Krakowie, gdzie corocznie kilka spędza tygodni.



Uroczystość ku czci lady Godivy: Panna Milo na koniu przejeżdżająca przez miasto Coventry.



Michał Salamon.

W ostatnim dniu pobytu tegorocznego dał się uprosić do zdjęcia fotograficznego, mimo iż jest zaciętym wrogiem wszelkich fotografii i podał naszemu współpracownikowi kilka dat z życia. Kończąc rozmowę dodał:

— A niech pan napisze, jakim byłem niegdyś basistą!

Życzeniu temu uczyniliśmy zadość.

Z lwowskiego bruku.

(Pojedynek na pistolety i tragiczny zgon niewinnego wróbla.— Dlaczego już nie zwalczam pojedynków? — Dobre strony nowoczesnych pojedynków lwowskich. — Dlaczego wracają letnicy? — Propozycya teatromana. — Proste sprawy a festyn drukarzy i różne na nim omyłki druku).

Największą sensacyą ubiegłego tygodnia był pojedynek na pistolety, który się skończył fatalnie dla jakiegoś wróbla. Dwaj zapaśnicy strzelali do siebie i trafili w biednego wróbelka, który nawet nie przeczuwał, co tam na dole pod nim się rozgrywa, przeleciał przez niebezpieczne miejsce i dostał kulkę w brzuszek. Niech się wróbel nie pcha tam, gdzie walczą lwy.

Jestem wielkim przeciwnikiem pojedynków i zwalczałem je przy każdej sposobności, ale od pewnego czasu zmieniłem moje przekonania, bo przekonałem się, że pojedynek lwowski nie jest tak czarny, jak go maluje Liga ku ochronie czci. Przekonałem się, że minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy ludzie w pojedynkach odcinali sobie głowy, lub kładli się trupem. Była to zła strona pojedynku. Dzisiejszy pojedynek zachował wszystkie dobre strony dawnego, nie przyjmując żadnej ze złych stron. Ze wszystkich ostatnich pojedynków na pistolety ani jeden nie skończył się źle. Obaj zapaśnicy dużo strzelają, ale mało trafiają i wychodzą cało. Cała sprawa kończy się na strachu i to nie zawsze, bo bardzo często przeciwnicy przed pojedynkiem układają się i zobowiązują strzelać w niebo. W obronie honoru wybija się szyby w niebie. Natomiast cały czas przed pojedynkiem jest się bohaterem, opowiada się cuda o swojej strzelaninie, o swojem mistrzowstwie w celowaniu, jest się na ustach wszystkich – to są dobre strony pojedynku. A gdy im odjęto złe strony, nie mas łusznej racyi zwalczania dzisiejszych pojedynków, jeżeli w społeczeństwie naszem nie ma zaginąć do reszty duch rycerski naszych prababek. Dlatego niektórzy nazywają Ligę antypojedynkową „Ligą ku ochronie tchórzostwa“. Kto bowiem nie jest tchórzem, ten nie potrzebuje żadnej ligi i wie bardzo dobrze, że mu się nic nie stanie w pojedynku dzisiejszym. W najgorszym razie poplami sobie garderobę, ale o tem prócz najściślejszej rodziny nikt wiedzieć nie będzie. Świat będzie go miał za dzielnego człowieka, który ze śmiertelnego pojedynku wyszedł cało, bo umie strzelać i uciekać przed kulą.

Ostatni nasz pojedynek skończył się także szczęśliwie, choć dużo się nastrzelano. Dzięki temu wesołemu zakończeniu niebezpiecznej sprawy, Lwów, który przedtem wstrzymywał oddech, zaczął znowu oddechać swojem zwykłem, letniem, przyjemnem powietrzem, a niektórzy mieszkańcy, którzy przedtem bali się wrócić do Lwowa, już powoli choć ostrożnie wracają, aby się tu zagrzać i wyschnąć.

Niektórzy wrócili tylko po to, aby zobaczyć po raz trzydziesty „Wesołą wdówkę“, bo boją się, że potem nie będzie można dostać biletów. Dyrekcya przygotowała jeszcze trzysta przedstawień tej operetki, a dbali o rozwój dramatu teatromani radzą wszystkie dramaty klasyczne wystawić pod tytułem „Wesoła wdówka“, bo inaczej publiczność nie przyjdzie do teatru. Jest to rada może nawet trafna a komisya teatralna zaraz po obudzeniu się po długim śnie powinna się nad nią trochę zastanowić.

Wkrótce, bo już za jaki tydzień, wraca reszta porządnych ludzi z letniego pobytu i ożywi się może kronika codziennych wypadków a za tem i moja kronika.

Dziś nie mam jeszcze nic szczególnego do zanotowania. Proste włamanie się złodziei do banku ruskiego nie było wcale sensacyjnem, bo „buchnęli“ zaledwie kilkadziesiąt koron. Załamanie się letników u źródła Magdaleny w Szczawnicy jest faktem bardzo charakterystycznym, ale nie należy do mojego zakresu, gdyż powinien tę sprawę omówić wasz tamtejszy korespondent. Festyn drukarzy we Lwowie, festyn, którego sława obiegła już całą Europę i nawet dotarła do konferencyi w Haadze był wprawdzie wypadkiem dnia, ale mnie na tym festynie nie było. Obawiałem się bowiem, aby pp. drukarze z wrodzonej skłonności do popełniania omyłek drukarskich nie dopuścili się jakiejś omyłki na mojej osobie. Ale bawił się na tym festynie Lwowek cały tak doskonale, jak na żadnym przedtem. Mimo to zdarzyły się liczne omyłki „drukarskie“, mianowicie takie, których żaden korrektor poprawić nie zdoła. Jakaś zamężna uczestniczka festynu omyliła się tak fatalnie, że zgubiła się podczas przedstawienia kinematografu z kolegą biurowym swego męża. Znaleziono ją w stanie zupełnej bezprzytomności i oddano mężowi za potwierdzeniem odbioru. Jeden z drukarzy zakochał się na zabój w jakiejś melancholijnej panience, podobno nauczycielce, i tego samego wieczora zaręczył się z inną—tylko przez omyłkę. Jakiś podtatusiały pan, który stale się kocha w młodej panience, co prawda ślicznej, w przystępie zazdrości palnął w twarz zamiast nagabującego ją faceta, zupełnie innego i obcego, od którego natychmiast otrzymał odpowiedź jako „Dratantwort bezahlt“ i obaj uważali sprawę za załatwioną honorowo.

Najsmutniejszą omyłkę popełnił znany lowelas lwowski, który krok w krok łaził za pewną mężatką z dzieckiem, potykał się, potrącał przechodniów, tracił ją z oczu i znów odnajdywał, nareszcie korzystając z ciemności zbliżył się, przedstawił się zmyślone nazwisko wymieniając, jak to zresztą u nas jest w zwyczaju, no i miał to szczęście, że mu pozwoliła sobie towarzyszyć. Mówiła mało, więcej słuchała. Jeszcze długo byli na festynie, wreszcie pojechali dorożką do miasta a z nimi dziecko. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że to dziecko jest pożyczone na parę godzin u stróża.

Zapłacił za dorożkę, pożegnał się z „mężatką“ i idąc do kawiarni rzekł sam do siebie:

— Psiakrew całe popołudniu i cały wieczór stracony na.... na... na pożyczone dziecko! *Kl.*

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

12 Ciąg dalszy.

— Dobrze mi tu było, moi panowie, więc zatęskniłem za wami i chciałem was zobaczyć. No, a także się o robotę zapytać.

— Ej, roboty nie ma, ale pogadać możemy. Jakże się panu powodzi, panie Fabrequette?

— Zawsze dobrze, bo mogłoby się gorzej powodzić. Bardzo dobrze. Pieniędzy nie było i nie ma, ale gęba jest do gwizdania i nie popsuła się jeszcze, ale dopóki gwizdać można, to wszystko dobrze. Ja maluję nie tylko monogramy na powozach, ale i portrety. Możeby kto portretu potrzebował?

— Ej, dziś nikt nie każe się malować, bo fotograf za byle co zrobi portret. Ale, ale. Czy pan zajmuje się ściennem malarstwem?

— Oczywiście. Maluję freski po kawiarniach, po salach balowych, gdziebądź, byle zapłacono.

— A no, to możeby coś było dla pana. Widzisz pan, panie Fabrequette, na końcu ulicy wielki, stary, trochę zapadły dom?

— Widzę, niby sowie gniazdo. Br! br! jaskinia, więzienie.

— Przez dziesięć lat tam nikt nie mieszkał, bo właściciel przeniósł się na wieś, a tej starej rudery nikt wynająć nie chciał. Dopiero przed tygodniem wynajął to jakiś dziwak. Powiadają, że niemiecki hrabia. Słyszałem, że mają odnawiać cały dom, to oczywiście byłoby dla pana zajęcie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję za radę. A czy tam już kto mieszka?

— Przed kilku dniami przyjechał tam ów hrabia z żoną i dzieckiem, przenocował, a na drugi dzień rano wyjechali i nie wrócili. Tylko kamerdyner pilnuje domu, zawsze nocuje, a niekiedy i w dzień przychodzi. Ot, teraz właśnie do domu wrócił, tędy przechodził i nawet prosił mnie po drodze, abym mu wskazał malarza.

Fabrequette o mało ze skóry nie wyskoczył. Nie wątpił na chwilę nawet, że mu wskazano norę opryszków, że mu odkryto miejsce noclegu ofiary, strąconej z wieży. Puścił kłęby dymu, pogwizdywał wesołe aryjki i szedł raźno do wskazanego domu.

Dom to był ponury, zaniedbany, podobniejszy do kazamat, do jakiejś małej twierdzy, niż do mieszkania w Paryżu. W oknach pozapuszczane story staroświeckie, druciane, brudne, ciemne; brama żelazna, nabijana płaskimi gwoździami. Dach staroświecki, wysoki, spadzisty, pokryty ceglaną dachówką, od starości zczerniałą zupełnie. U bramy zwisała żelazna rękojeść dzwonka.

Fabrequette przypatrywał się domostwu z wielką uwagą. Dla malarza był to przedmiot ciekawy, ale chyba nie bardzo ponętny, skoro nawet ten wesół zawsze, poniekąd swawolny Fabrequette, posmutniał nieco i spoglądał na domostwo z zabobonnym lękiem. Przemogła żywość temperamentu i fantazya poczciwego łobuza.

— Ej, co? raz kozie śmierć — mruknął i pociągnął z fajeczki, wypuścił kłęb dymu, zagwizdał wesoło i zadzwonił silnie.

Nikt się nie zjawił. Zadwonił po raz drugi. Wtedy otwarło się okienko przy bramie, małe, zakratowane i z po za krat odezwał się ktoś:

— Proszę poczekać — zaraz otworzę.

Wnet potem zaskrzypiał klucz w zamku i brama się rozwarła; na progu stanął człowiek chudy, kościsty, czarno ubrany, w białym krawacie.

— Co za interes? do kogo? — zapytał malarza szorstko.

— Proszę wybaczyć, że jestem tak natrętny — odpowiedział Fabrequette, siląc się na uprzejmość. — Jestem malarzem szukającym zajęcia, a słyszałem, że tu byłaby dla mnie robota.

— Możesz pan znaleść robotę, jeżeli umiesz artystycznie wykonywać malowidła ścienne. Właśnie teraz trzeba będzie wymalować salę jadalną.

— Owszem, owszem; bardzo chętnie. Maluję w każdym stylu.

Fabrequette nie żałował fantazyi i języka, aby swe zdolności jak najbardziej wychwalać. Potoki słów płynęły kaskadą z ust jego, a czarno ubrany człowiek słuchał cierpliwie, jakby z podziwem i zajęciem, wreszcie przerwał:

— Widzę, widzę, że pan zna się doskonale na swojej sztuce. Ale taki niepospolity artysta, zechce zapewne zbyt drogo policzyć sobie za pracę.

— O, wcale nie; maluję z zamiłowania, z powołania artystycznego, więc nie zdzieram klientów. Proszę być spokojnym.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie. Będzie robota, będzie, ale to odemnie nie zależy; powiem mojemu panu. Nie wątpię, że się zgodzi, ale będzie chciał niezawodnie zobaczyć wpierw próbę pańskiej roboty.

— Rozumiem, oczywiście i zupełnie naturalnie.

— W takim razie proszę wejść. Pokażę salę jadalną, abyś pan wymierzył sobie ściany, ułożył projekt malowidła i obliczył koszta, a jutro przedstawię pana hrabiemu.

— To pan hrabia tu nie mieszka?

— Nie, panie kochany. Dom zaniedbany, nie urządzony. Hrabia sprowadzi się dopiero po zrestaurowaniu całego domu. A więc proszę wejść.

To rzekłszy, człowiek w białym krawacie rozwarł bramę szerzej i Fabrequette mógł się mu teraz dokładnie przypatrzyć. Był równie wstrętny jak domostwo, z którego się wynurzył. Włosy ostrzyżone krótko, oczy zapadnięte, ponure, a przenikliwe i kości na policzkach ostro wystające; nos ścięty, usta wykrzywione.

— A to model na zbrodniarza, galernika, morderdercę, łotra — pomyślał Fabrequette i jakoś nie spieszył się z wejściem do sieni. Stał w bramie i spoglądał na ów model z większym jeszcze lękiem, niż na domostwo. Może byłby się cofnął i odszedł, ale przypomniał sobie naradę wojenną, jak na niej szumnie zapewniał, że odkryje norę przy ulicy Marbeuf. Co by o nim powiedziano, gdyby z niczem powrócił? Zebrał się na odwagę i próg bramy przestąpił. Zaledwie się to stało, wstrętny człowiek zamknął prędko bramę na klucz.

— Czy się pan boi, żebym nie uciekł? — zapytał Fabrequette.

— O, wcale nie. Zamykam bramę dla porządku, dla zasady, a także i dlatego, że tu pełno ciekawców, co natrętnie zaglądają i węszą, chociaż tu nie ma nic ciekawego. Stary dom. Nikt nie mieszkał w nim przez lat dziesięć, stał pustką, zniszczał, teraz pan hrabia kupiwszy, chce uczynić piękną rezydencyę. Ot i wszystko. Ciekawość, natręctwo gapiów nie miłe, więc bramę zamykam.... Ot i wszystko.

Sień była wielka, urządzona do zajazdu, ale dziwnie ciemna, ponura, o sklepieniu niskiem, spłaszczonem. Fabrequette dojrzał z boku kilkoro drzwi żelaznych, a na końcu schody wąskie, ciemne. Doznał wrażenia, że się znalazł w więzieniu średniowiecznem, w którem za chwilę ujrzy kaźnię z przyrządami straszliwych tortur. Mimo tego ogarnęło go dziwne zadowolenie. Cieszył się, że go tu wpuścił naiwny kamerdyner, nie przeczuwając, że nie po robotę malarską tu przyszedł, jeno, by wyśledzić norę opryszków. Natrząsał się nawet w duszy z głupoty kamerdynera, któremu nie wpadło na myśl, że nikt przecież nie będzie szukał zajęcia w ulicach pustych, odległych, a zwłaszcza w domu, w którym oczywiście nikt nie mieszka, skoro okna storami pozapuszczane, zapylone, widocznie nie odmykane od dawna. Cieszył się poczciwy łobuz, że podpatrzy wszystko, że wreszcie odda w ręce władzy mordercę, zbrodniarza. I kpił sobie w duszy z ponurego człowieka, że się dał podejść, że podstępu nie poznał.

Czarny człek szedł przodem po schodach ciemnych, Fabrequette zdążał za nim i potykał się co chwilę. Stanęli na piętrze, w korytarzu wąskim, mrocznym, brudnym. Kamerdyner otworzył drzwi i wpuścił przez nie malarza do pokoju dużego, w którym płonęły dwie świece w srebrnych lichtarzach, a okna były szczelnie zasłonięte okiennicami.

— A cóż to za piwniczny, czy grobowy dom. Wszędzie ciemno, ponuro. W dodatku okna pozasłaniane. Czy tu sowy mieszkają?

— Dowcipny z pana malarz. Bardzo dowcipny. Ale to nie sowy panie, tylko wszystko jeszcze po dawnemu zostało. Będzie inaczej, gdy się zrestauruje. Okiennice dawny właściciel pozabijał gwoździami. Ot, dziwak był, szczególny dziwak.

— Restauracya takiego budynku będzie wiele kosztowała, co?

— Zapewne, zapewne. Pan hrabia nie pożałuje pieniędzy.

— Pewnie bardzo bogaty, co?

— O! bardzo! bardzo bogaty!

— Francuz?

— Nie, nie. Niemiec, jeden z najbogatszych panów niemieckich.

— Hm! hm!

— Tak, tak. Ale proszę za mną do sali jadalnej.

Pokój, w którym płonęły świece, był zupełnie pusty; teraz weszli do pokoju mniejszego. Była to sypialnia. Stały tam dwa łóżka, nie pościelone, jakby kto świeżo z nich wstał. Okna były zasłonione storami, ale światło dzienne przedzierało się przez nie cokolwiek i można było widzieć wszystko dosyć dokładnie.

— Aha! — pomyślał Fabrequette — tu spał morderca ze swoją ofiarą.

Z pokoju sypialnego weszli do gabinetu. Tu spostrzegł malarz małe łóżko żelazne, również nie pościelone, a przy łóżku ubranie chłopięce.

— Aha! tu spał Szasza — myślał Fabrequette. — Ale cóż u licha, że do tej chwili nikt tu porządku nie zrobił? — zapytywał sam siebie.

Weszli teraz do niewielkiego pokoju, w którym był na środku stół okrągły, około niego kilka krzeseł. Na stole było zużyte nakrycie do śniadania, na trzy osoby, a nawet nie sprzątnięto półmiska i etażerek z resztą potraw i przystawek.

— Tu jadła śniadanie biedna ofiara, tu jadł śniadanie morderca i mały Szasza — pomyślał Fabrequette — a to mi się udało! Jaki to głupiec ów kamerdyner, że mnie tu wprowadził! Naiwna bestya! Ależ są tu wszystkie ślady najwyraźniejsze. Gdy tu policya Szaszę przyprowadzi, chłopiec zaraz pozna swój nocleg, no i po wszystkiemu. Morderca dostanie się pod gilotynę i ofiara będzie pomszczoną. Wartoby chwycić tego puszczyka kamerdynera za słówko.

Tak się to wszystko przesuwało Fabrequettowi przez głowę i ożywiało go bardzo. Z odcieniem obojętności zapytał:

-- Więc pan hrabia tu jada, a jeszcze nie sprzątnięte?

— Co? co? Jakże pan możesz nawet przypuszczać, aby taki magnat, jak hrabia, jadał przy tak skromnem nakryciu? No, widać, że pan nie zbliżałeś się nigdy do wielkich panów.

— A któż tu raczył się śniadaniem?

— Kto? służba, oczywiście, że służba.

— Ho! ho! to służba żyje tu bardzo wykwintnie! Pan zapewne jeszcze wspanialej tu żyje? co?

— Jestem marszałkiem dworu, kierownikiem służby, a zawsze w pobliżu mojego pana.

— Czy i w podróży?

— Naturalnie.

— A w Rosyi podobało się panu?

— W Rosyi? Nie byłem tam wcale.

— To hrabia bez pana tam jeździł? co?

— Nie, mój młodziku. Zaczynasz być zanadto ciekawy, a ja nie znoszę, aby się lada rzemieślnik poufalił ze mną.

— Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam, panie marszałku dworu. Widzi pan, ja nie ocierałem się nigdy o magnackie domy, więc ciekawość mnie zbiera, gdym się raz przecie dostał do magnackiego przybytku. Więc to jest ta sala jadalna, którą mam przemalować.

— Ależ głupstwo! Jakże można coś podobnego przypuszczać? To przedpokój, w którym tymczasowo jada służba, a do sali jadalnej wejdziemy zaraz.

To rzekłszy, pocisnął kamerdyner guzik w ścianie i rozwarły się małe drzwiczki tapetowe. Za drzwiami było ciemno.

— Proszę wejść — rzekł kamerdyner — to ciemny korytarz, przez który się wchodzi do sali jadalnej. Zaraz panu poświecę. To będzie przebudowane. Teraz niewygodnie, całymi dniami trzeba palić światło. O, lampa tu zgasła. Idź pan, idź — zaraz poświecę.

Fabrequette przestąpił próg, a zaledwie znalazł się w ciemnym korytarzu, nagle drzwi się za nim zamknęły. Sądził, że to stało się przypadkiem, że kamerdyner zaraz się zjawi. Upłynęła spora chwila, a drzwiczki się nie otwierają, więc malarz wali w nie pięścią z całej siły, ale nikt się nie odezwał. Szuka sprężyny, zamku, klamki, maca — ani śladu. Bije pięścią, nogami. Drzwi nawet nie drgnęły.

— Cóż u licha? Przecież mnie tu nie zamknął umyślnie! Na toby się przecież nie odważył! Hej! panie marszałku dworu, otwórz pan prędzej i chodź tu ze światłem. Cóż do dyabła? czy pana szlag trafił? co? no gadajże do stu dyabłów. Co? może bestya ogłuchła nagle? Hej! hej! otwieraj!

Tłucze nogami, rękoma we drzwi i cicho, cicho i głucho.

Ciąg dalszy nastąpi.



Uroczystość ku czci lady Godivy.

(Do illustracyi na stronie 18).

Małe, fabryczne miasteczko Coventry, położone w angielskiem hrabstwie War-Wick, co trzy lata przypomina światu swe istnienie wspaniałą uroczystością, poświęconą pamięci lady Godivy. Sława tej pięknej i dobrej damy datuje się już od kilku wieków, od roku 1507, kiedy poświęciła swą wstydliwość dla dobra mieszkańców tego miasteczka.

Okrutny Leofric hrabia Chester na mieszkańców Coventry nałożył bardzo uciążliwe podatki, które biedną ludność rujnowały do szczętu. Napróżno błagano o litość okrutnego hrabiego, napróżno przedstawiano nędzę ludności; żadne prośby nie zdołały zmiękczyć zakamieniałego serca. Szukano wstawiennictwa możnych panów, biskupów, lecz wszyscy otrzymali odmowę. Zrozpaczeni mieszkańcy udali się wtedy do szlachetnej małżonki hrabiego, lady Godivy, słynnej wówczas na świat cały z niezwykłej urody i miłosierdzia, jakie wbrew woli okrutnego swego małżonka, świadczyła wszystkim nieszczęśliwym. Lecz i błagania litościwej hrabiny nie zdołały wzbudzić współczucia w sercu brutalnego władcy; na nalegania żony odpowiedział z cynizmem, iż wtedy przychyli się do jej próśb, jeżeli cała goła przejdzie przez ulice Coventry. Spodziewał się, iż małżonka jego nie zdoła poświęcić swej wstydliwości dla miłosierdzia. Gdy wiadomość o wyroku hrabiego rozeszła się po mieście, smutek zapanował powszechny, bo któżby zgodził się na podobne poświęcenie? Jednak lady Godiva w miłosierdziu swem nie znała granic i poddała się tym torturom wstydu. Okryta tylko przepięknemi zwojami długich włosów, jaśniejąca cała przecudną pięknością, wyszła bez szat z podwoi zamku i ukazała się na ulicach. I wtedy miasto jakby zamarło, pozamykano okna, drzwi; ni głosu, ni cienia ludzkiego nie było widać, lady Godiva minęła całe miasto nie widziana przez nikogo; z uszanowania i czci dla swej wybawicielki ludność miasta postanowiła własną skromnością okryć swą panią. Znalazł się tylko jeden szpieg Tomasz, który obrzucił swym niegodnym wzrokiem to piękno miłosierne; za karę został on podany w poniewierkę jako Peeping Tom.

Tegoroczny obchód wywołał między radą miejską a purytańskiem duchowieństwem angielskiem pewne nieporozumienia; postanowiono bowiem tej uroczystości nadać możliwie realistyczny charakter. W tym celu zaangażowano figurantkę Milo, specyalistkę od plastycznych póz, by wyobrażała w historycznym „kostyumie“ dobrodziejkę Coventry. Dyskutowano tedy, czy lady Godiva ma wystąpić w r. 1907 tylko w trykotach, czy w grubszych szatach. Zwyciężyła prawda historyczna. W obecności co najmniej stu tysięcy ludzi panna Milo odziana tylko w cieliste trykoty, okryta lekkim woalem i wspaniałymi włosami, przejechała konno przez kilka ulic miasta Coventry.



Zagadki do nagrody

Szarada.

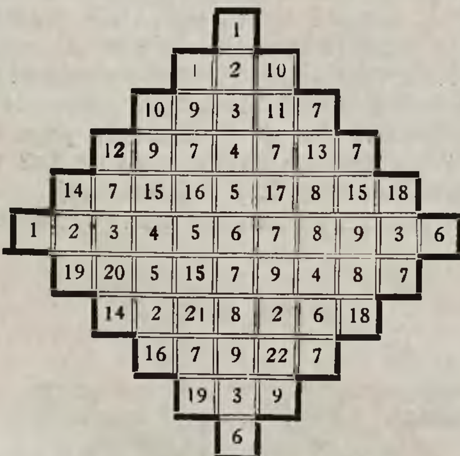
Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Cała ta szarada
Z dwóch zgłosek się składa.
Pierwszą czyni wszechstworzenie,
By żyć na tej Bożej ziemi,
Druga zaś jest mianem ladaco człowieka,
Całość gdy cię ujrzy, już zdala ucieka.

Arytmogryf.

(Ułożył Stefan Lityński nauczyciel).

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe w pionowym i poziomym, czytane kierunku, utworzyły nazwę miasta w Ameryce.

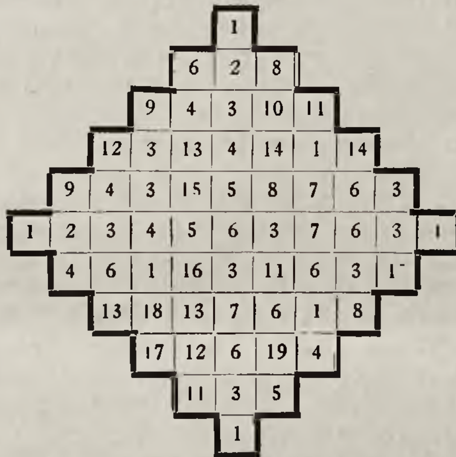


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Drzewo. 3. Wyspa w południowej Europie. 4. Nazwa kraju i stolicy. 5. Zasłużony pisarz dla dzieci. 6. ? 7. Maszyna gospodarska 8 Imię męskie. 9. Instrument muzyczny. 10. Nazwa urzędnika we Francyi. 11. Spółgłoska.

Arytmogryf

(Ułożył Stefan Lityński nauczyciel).

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły nazwę ziela znanego w lecznictwie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żeńskie. 3. Nazwa pewnej części miasta Moskwy. 4. Sławny lekarz polski w XVII w. 5. Inaczej zakładanie. 6. ? 7. Minister francuski, który podniósł znaczenie Francyi w Europie. 8. Naczynie krwionośne. 9. Nazwa ludzi umarłych powracających w nocy do życia. 10. Zwierzę drapieżne. 11. Spółgłoska.

Zagadka.

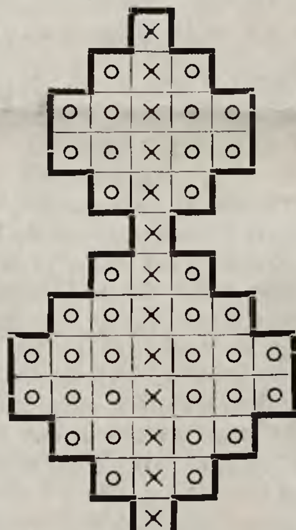
Ułożył S. Spunda ze Skały.

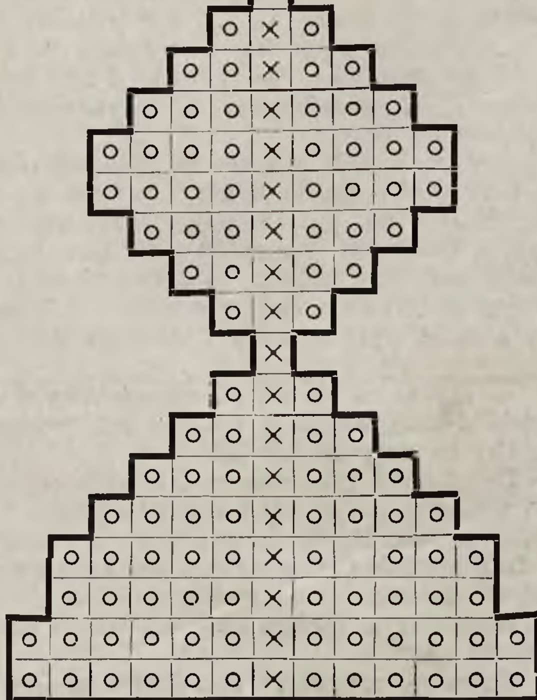
Wyrazy: akcye, alibi, ambo, kaganiec, łup, napoje, rywal, wulkan, potop — tak uporządkować, by litery początkowe czytane z góry na dół, a ostatnie czytane z dołu do góry, utworzyły dwa sprzeczne ze sobą w znaczeniu wyrazy.

Zagadka.

Ułożył Mieczysław Rożański, Libusz.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko znakomitego poety polskiego, oraz tytuł najnowszego jego utworu.



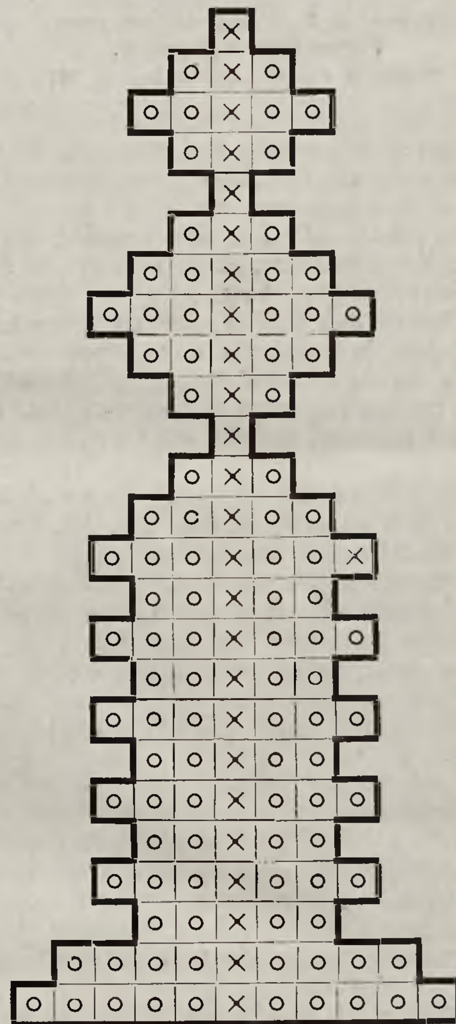


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Powieść Gawalewicza. 3. Imię męskie. 4. Drzewo. 5. Owad. 6. Samogłoska. 7. Roślina, 9. Zwierzę leśne. 9. Produkt uzyskany przy dystylacyi ropy. 10. Góra biblijna. 11. Wyspa na morzu Śródziemnem. 12. Ptak. 13 Spółgłoska. 14. Owad. 13. Ryba morska. 16. Jarzyna. 17. Góra w Azyi. 18. Słynny wódz ateński. 19. Zwierzę z rodziny owadożernych. 20. Miasto na Litwie. 21. Rzeka w Niemczech. 22. Spółgłoska. 23. Karty. 24. Pieniądz złoty. 25. Słynna kochanka Peryklesa. 26. Znakomity dramaturg grecki. 27. Powieściopisarz polski. 28. Imię męskie. 29. Dwa miasta w Galicyi. 30. Dwie nowele Żeromskiego.

Logogryf.

Ułożył H. Kowalski z Mogiły.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami tak, aby litery środkowe czytane z góry na dół dały przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię męskie. 3. Miasto w południowej Ameryce (Ekwador). 4. Poeta polski. 5. Spółgłoska. 6. Miara używana w Anglii. 7 Kraj w połud. Ameryce. 8. Część broni palnej. 9. Pisarz polski. 10 Wykrzyknik. 11. Spółgłoska. 12. Rzeka w Niemczech. 13. Malarz polski. 14. Wyspy na morzu Egejskim. 15. Rzeka we Włoszech. 16. Rodzaj ubrania polskiego. 17. Imię żeńskie. 18. Inaczej dom. 19. Część aparatu fotograficznego. 20. Utwór Krasińskiego. 21. Wapień. 22. Miasto na kresach. 23. Roślina lekarska. 24. Imię kilku papieży. 25. Król polski (nazwisko).

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy dramat Maskoffa pt. »Tamten«.



Rozwiązanie zagadek z Nru 32

Szarada.

Kazimiera.

Logogryf.

Powrót Odyssa.

Zagadka zgłoskowa.

Ludwik Kondratowicz — Władysław Syrokomla.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: H. Lisicka Warszawa, M. Arbesbauer Lwów, J. Czechowicz Mikołajów, M. Burdowicz Buczacz, T. Jaroszyńska Błudniki, F. Niepokój Krosno, K. Jabłoński Stanisławów, M. Opolska Czarny Dunajec, Tow. »Zgoda« Krosno, K. Fuchs Czeremchów, A. Mussil Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. K. Jabłoński Stanisławów. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.



Przezorność „in extremis“.

Mąż, spadając w górach w przepaść, do żony:

— A nie zapomnij, że przewodnik już zapłacony!

* * *

Proszony obiad.

Pewien smakosz został zaproszony na obiad do znajomych, słynących ze skąpstwa. Potraw było niewiele i podawano je tak, że gość wstał głodny od stołu. Po obiedzie pyta go gospodyni z najmilszym uśmiechem:

— Kiedyż pan będzie łaskaw zasiąść znów z nami do obiadu?

— W tej chwili, jeżeli pani rozkaże.

* * *

W gabinecie zoologicznym.

Sześcioletnia Maniusia spostrzega nagle lwa z wyszczerzonymi zębami:

— Babciu! — woła z przerażeniem — nie zbliżajmy się do tego lwa, może on jest źle wypchany!